

Kamena

LUBLIN 30.IV.1967 Nr 8 (365) R. XXXIV

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

Wychodzi od 1933 r.

ZIELONY KARNWAŁ

ZYGMUNT MIKULSKI

ROK kulturalno-oświatowy jest odwrotnością roku kalendarzowego. Jego wiosna przypada na październik, a pełnia lata na maj. W październiku bowiem wraz z inauguracją koncepcji, inicjatyw i zamierzeń, które najpełniej owocują w Dniach Oświaty, Książki i Prasy.

Tak Dni w naszym kraju stały się instytucją. Wprowadzić corocznie Ogólnopolski Komitet ich obchodu ustala nowe terminy, ale nie potrafimy sobie już żadnej wiosny wyobrazić bez tej tradycyjnej majowej imprezy, która obchodząc korowodem barwy, dźwięku, tańca, słowa i światła opasuje nasz kraj. Można by się też przy każdorazowej okazji, jaką zastępczą, kusić o jakiś bilans, gdyby nie fakt, że do kultury nie sposób ująć w wymierne wyznaczniki, jak ilość przybyłych metrów sześciennych, czy zajętych miejsc na salach widowiskowych. Wiemy tylko, że czuliśmy jakiś niepokój, że naszym oczekiwaniom nie stało się zadość, gdyby któregoś roku Dni zostały pominięte.

Bo jakos przywykliśmy do tego, że każdego maja to wszystko, co się da ujrzeć i usłyszeć, wywozimy z miasta na wieś. Pokazać, rozkrzewić. Dla dobra tych wsi, które nie zawsze mając odpowiednie połączenia z miastami, nie znajdują dostępu do dóbr kultury. Ale korzyść tych dniowych przedsięwzięć jest obustronna. Bo i miasto przez ten kontakt z bezpośrednimi, nie urobionymi jeszcze odbiorcami nabywa nowych podnieć i przekonań o potrzebie trafienia do ludzkiej wrażliwości. Wiosenne przewietrzenie atmosfery środowisk miejskich jest tu widoczne i korzystnie maczące dla wzmocnienia ich twórczych umiejętności. Nie potrzeba przykładu aż z Anteuszem. W każdej powiatowej dla dzieci znajduje się fragment o zwiastującym wpływie wiosennego wiatru, słońca i deszczu na cerę miejskiego Tadeusza, Mlecia i Wacława.

Co nie oznacza jednak, że Dni mamy urządzić na zasadzie objazdowej rewii. Na uparte go pokazujemy, wywiezionymi z miasta imprezami można do tego stopnia pokryć mapę województwa, że milicjant regulujący ruchem stałby się potrzebny na każdym skrzyżowaniu drogi powiatowej z gromadzką. Ale nie chodzi o otwarcie gołębnika w dniu 3 maja, by całe wojewódzkie ptactwo skrzyknąć w dniu 21. Chodzi o umożliwienie wystąpienia wszystkim większym i malomiasteczkowym tendencjom kulturowym, o wytworzenie klimatu dla zakiełkowania tych inicjatyw, które przyoblekać się w postać faktu nie znikającego wraz z zakończeniem obchodów.

Jesteśmy — owszem — skłonni utykać na nagle tempo kulturalnego rozwoju naszych wsi widząc je wciąż jeszcze obszarem izolacji i nudy. Jest w tym sporo słuszności, ale rzadko bierzemy pod uwagę, że relatywne. Mianowicie za nie nadążającą uważamy wieś, w której jest już telewizor, ale nie wszyscy z „kawalerki” skuli się do któregoś z kółek zainteresowań w świetlicy. Chyba nie potrzeba zestawiać z czasem aż międzywojennym, by ujrzeć awans w tym „nieodstanku”. Awans tkwiący w tym, że możemy powiedzieć „za mało” z pełnym przeświadczeniem o możliwości zaspokojenia braków. Poza tym weźmy i to pod

(Dokończenie na str. 5)



Fot. Lucjan Sarnecki

CI SAMI PO ROKU

FSC Lublin. Fabryka Samochodów Ciężarowych. Wielki zakład przemysłowy. Ponad 8 tysięcy pracowników. Półtoramiliardowej wartości produkcja.

Rok temu — jak miliony innych — maszerowali w pochodzie pierwszomajowym. Reprodukujemy zdjęcie z tego pochodu; przy pomocy dziennikarzy z gazety zakładowej FSC zidentyfikowaliśmy kilkanaście osób (numery przy nazwiskach w tekście i numery na zdjęciu pozwolą na to samo czytelnikom). Nasz reporter odszukał je. Co zmieniło się przez ten rok w życiu tych ludzi? Jedni mówili chętnie o sobie, inni nie bardzo. Jedni o sprawach prywatnych, inni o zawodowych. Każdy prawie zaczął od słów „nie szczególnego”.

Lecz potem w trakcie rozmów okazywało się, że działo się wiele. Rok to jednak długi okres w życiu człowieka. Przeczytajcie i pomyślcie: ile zmieniło się w tym czasie w Waszym życiu? Ile zmieni do następnego pierwszego maja?

WALERY TRYBUCHOWICZ (13), kierownik sekcji osobowej w Dziale Kadr.



Ten rok przyniósł mi dużo zmian w moim życiu. Najważniejszą z nich to, że zostałem ojcem. Czekałem na to dziecko i marzyłem, żeby był syn. I właśnie mamy syna. Ucieszyłem się ogromnie.

Zresztą pierwszy syn to chyba radość dla każdego mężczyzny, prawda? Druga rzecz — to mieszkanie. Mieszkałem dotychczas z rodzicami żony. Było ciasno. Niedawno otrzymaliśmy samodzielny lokal. Jest to wprawdzie tylko jeden pokój i trudno uważać go za gniazdo rodzinne. To raczej gniazdo, na które usiadło się w przelocie. Zawsze jednak — własne. Lecz prawdziwe mieszkanie też już na mnie prawie że czeka — należę do spółdzielni „Motor” i w tym roku mam dostać przydział.

No i trzecia zmiana: awans w pracy. Poprzednio byłem inspektorem w Dziale Kadr, obecnie zostałem kierownikiem sekcji osobowej. W FSC pracuję osiem lat, staram się wywiązywać dobrze ze swoich obowiązków, jednak prawdę mówiąc nie spodziewałem się tej nominacji.

BERNARD PIROGOWICZ (19), redaktor naczelny gazety zakładowej „Głos FSC”.

Jesienią ubiegłego roku rozpoczęłem studia zaoczne na Wydziale Ekonomii UMCS. Nie była to zbyt wielka nowość w moim życiu. Kilka lat temu rozpocząłem studia, też ekonomiczne, też zaoczne, tylko że w Warszawie. Niestety, obowiązki rodzinne nie pozostawiały wiele czasu na naukę. Zeby zdecydować się po raz drugi nie wystarczyło tylko trochę odwagi. Zawiadomiłem moich przełożonych i uzyskałem od nich zapewnienie, że mi pomogą, między

inymi przez nieobciążanie dodatkowymi zajęciami, co normalnie nieraz się zdarzało. Zrezygnowałem również z niektórych form działalności społecznej.

Zona również pracuje i uczy się, więc rozumie mnie i zachęca do śledzenia nad skryptami. Mamy dwoje dzieci w wieku szkolnym... Po południu każdy więc siada przy swoim stole czy biurku i rozkłada podręczniki. Domem zajmuje się matka żony, która mieszka razem z nami. Na szczęście dla pozostałej czwórki teściowa nie uzupełnia swoich kwalifikacji. Ale jeśli któregoś dnia powzięcie taką decyzję? Strach pomyśleć...

IRENA ZARZYCKA (12), mistrz odlewni w Wydziale Rdzeniarni.

Z wykształcenia jestem technikiem odlewnictwa. Jest to zawód typowo męski; gdy kończyłem technikum w Oleśnicy pod Wrocławiem, w mojej klasie były tylko cztery dziewczęta. Do FSC zostałem zaangażowany w roku 1961. I nie mogłam się zdecydować na podjęcie pracy w swoim zawodzie. Ostatnio byłam kierownikiem wypożyczalni narzędzi. Praca spokojna, zawsze na ranną zmianę. No i po pięciu latach zdecydowałam się na zatrudnienie zgodnie z moim właściwym zawodem. Bałam się po prostu, że jeszcze trochę a zapomnę wszystko, czego nauczyłam się w technikum. Mianowano mnie mistrzem w Wydziale Rdzeniarni. Nie taję, że bałam się tej pracy. Przede mną w FSC stanowisko to zawsze zajmowała męczczyźni. No, a teraz baba. Kieruję 32-osobowym zespołem. Najstarsi mają prawie dwa razy tyle lat co ja. I praca jest ciężka, niebezpieczna. No i to, że baba... Początkowo słuchałam na swój temat sporo różnych anegdot. Na szczęście znano mnie już w tym wydziale. A przede wszystkim dawałam sobie od początku radę. W marcu wykonałam 120 procent normy.

We wrześniu 1966 r. zmieniłam mieszkanie. Poprzednio wynajmowałyśmy z siostrą pokój u pewnej pani zamieszkałej przy Krakowskim Przedmieściu. Teraz siostra, ja i koleżanka mieszkamy u bezdzietnego małżeństwa na Tatarskich.

GUSTAW KRUPA (6), dyrektor naczelny fabryki.



To był dla mnie pięknie ciężki rok. W ramach tak zwanej deglomeracji przejeżdżałem z Zeran na najpierw produkcję kół do samochodu osobowego, potem produkcję przedniego zawieszenia, a wreszcie produkcję tylnych mostów do „Warszawy” i samochodów pochodnych oraz produkcję innych części. Uruchomienie tego wszystkiego wymagało wielkiego wysiłku i pokonania rozlicznych przeszkód. Nie wymieniam już jałkich, by nie nużyć czytelników sprawami technicznymi i organizacyjnymi.

A przecież to wszystko działo się w zakładzie bardzo trudnym do kierowania. FSC to nie jedna fabryka, która zajmuje się wyrobieniem takiego czy innego, nawet najbardziej skomplikowanego produktu. Jesteśmy właścicielem zespołem składającym się z kilku fabryk o odrębnych profilach produkcji, połączonych tylko organizacyjnie w całość. Wytwarzamy ponad 3400 pozycji asortymentowych. Kooperujemy z 83 innymi zakładami, których produkcja, rytmiczność, wykonanie planów i jakości zależne są od dostarczanych przez nas części. To poważna rzecz. Z drugiej strony my sami zależni jesteśmy od takiej samej mniej więcej ilości dostawców. Każdy nasz wydział to oddzielne problemy organizacyjne, techniczne, ekonomiczne i społeczne. No i ta nowa produkcja. W ciągu kilkunastu minionych miesięcy byłam tylko trzy razy w teatrze, ani razu w kinie. Nie oglądałem telewizji. Jeśli już znalazłem wolną chwilę, to przeznaczałem ją na czytanie literatury fachowej.

Nawał obowiązków zawodowych odebrał mi prawie zupełnie, prócz urlopu spędzonego z rodziną nad morzem, czas na życie osobiste. Nic się w nim nie zmieniło. Wprawdzie najstarszy syn, student, ożenił się, ale moja doba wygląda wciąż jednakowo. Pyta pan, czy nie jestem przerażony perspektywą zostania tak wczesnym dziadkiem? Niech martwi się młoda para, czy jest przygotowana do roli rodziców. Ja gotów jestem do roli dziadka nawet od jutra — to żadna sztuka. Znacznie trudniej jest wziąć na siebie rolę ojca.

(Dokończenie na str. 3)

I co dalej z Dzielnicą Uniwersytecką?

CZESŁAW GAWDZIK

WOSTATNIM dwudziestoleciu obserwujemy na całym świecie szczególnie silny rozwój budownictwa szkół wyższych. Wynika to z olbrzymiej roli, jaką odgrywa we współczesnej cywilizacji nauka. Obok rozbudowy i przebudowy starych ośrodków powstają nowe zespoły uczelniowe, często na skrajach miast lub nawet poza nimi. Przykładem mogą być uniwersytety w Sztokholmie, w Oslo, politechnika w Kopenhadze, politechnika w Enschede (Holandia), miasteczko uniwersyteckie w Bratysławie, Wyższa Szkoła Rolnicza w Kortowie koło Olsztyna, a także Uniwersytet Marii Curie-Skłodowskiej w Lublinie.

Wyższa uczelnia we współczesnym pojęciu to już nie budynek, czy nawet zespół budynków, ale dzielnica miasta, bądź wyodrębniona jednostka urbanistyczna, koncentrująca na swym terenie wielokrotne funkcje dydaktyczne, naukowe, mieszkaniowe, a także usługowe. Jest to więc problem społeczno-ekonomiczny i urbanistyczno-architektoniczny.

Rola miastotwórcza wyższych uczelni znana jest od dawna, przykładem mogą być uniwersytety w Pradze, Paryżu, Bolonii, Padwie, Krakowie i wielu innych miastach Europy.

Lublin należy do tych miast, które awans swój zawiązywały w znacząco mierze wyższym uczelnim powstałym tu po 1944 roku. Początkowo słabo zarysowujące się związki i wzajemne oddziaływanie miasta na uczelnię i uczelnię na miasto zawsze pogłębiały się w miarę wstania uczelni w środowisko, aż do wytworzenia się pełnej symbiozy wyższej szkoły z miastem. Widzimy to np. w Krakowie. Prześledzenie tych wzajemnych oddziaływań oraz poznanie całej problematyki społeczno-ekonomicznej ma poważne znaczenie dla planowania rozwoju naszych lubelskich uczelni.

(Dokończenie na str. 5)



Literatura

XVI zjazd sprawozdawczy wyborczy delegatów Związku Literatów Polskich odbędzie się 2 i 3 czerwca w Koszalinie.

Michał Rusinek obchodzi jubileusz 40-lecia pracy pisarskiej. Z tej okazji jubilat udekorowany został Orderem Sztandaru Pracy II klasy, przyznany mu przez Radę Państwa za zasługi na polu literatury. Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza przygotowała na jubileusz wzmnowienie powieści M. Rusinka — „Burza nad brukiem” i „Człowiek z bramy”.

22 lata liczy już Towarzystwo Naukowe w Toruniu. Założone w 1875 r. przez grupę polskich patriotów, dobrze zasłużyło się sprawie narodowej w okresie pruskiej niewoli, wydając szereg publikacji, roczników, „zapisków” itp. poświęconych polskości regionu. Dziś TNT liczy 325 członków. Wydaje ono szereg periodyków i rozpraw o treści przydatnej całej nauce polskiej. Tylko w ub. roku wydano 17 pozycji z zakresu historii, teorii literatury, socjologii i in.

Uniwersytet w Turynie zorganizował serię wykładów i ćwiczeń na temat: metody współczesnej krytyki. Wśród wykładowców prof. Jan Starobinski z uniwersytetu genueńskiego.

Sześć dni trwało w starym dioklejańskim Splicie spotkanie „Ludzi pióra i turystyki”, którzy za dewizę przyjęli hasło — „Turystyka — pasport pokoju”.

W dniach 21-28 maja odbędzie się w Warszawie XII Międzynarodowe Targi Książki z udziałem 24 państw oraz ONZ. Ok. 65 proc. ekspozycyjnych książek będzie poświęconych tym razem problematyce technicznej i naukowej.

W NRF działa 1866 wydawnictw książkowych, z tego 231 w samym Monachium. W Berlinie zachodnim ilość wydawnictw w ciągu 2 lat spadła z 234 do 194. Ale tylko nieliczne wydawnictwa drukują ponad 100 tytułów rocznie.

Muzyka

W wieku 72 lat zmarł w Warszawie nestor muzykologii polskiej prof. dr Hieronim Feicht, m. in. założyciel i pierwszy rektor Państwowej Wyższej Szkoły Muzycznej we Wrocławiu.

16 kwietnia odsłonięty został w Brzeżcu pomnik — mauzoleum 4 milionów ofiar Oświęcimia. W czasie manifestacji wykonano po raz pierwszy oratorium „Dies Irae” Krzysztofa Pendereckiego, poświęcone pamięci zamordowanych w tym największym obozie zagłady.

Państwowa Opera Objazdowa wystąpiła z premierą „Wesolych kumoszek z Wind-soru” Otto Nicolai, w reżyserii i scenografii Tadeusza Laskowskiego.

Przy Ludowym Instytucie Muzycznym w Łodzi powstał ośrodek szkoleniowy — Wszelchnica muzyczna, która stawia sobie za zadanie dokształcanie nauczycieli muzyki w ogólnych oraz instruktorskich i matorskiego ruchu artystycznego. Powstały także wojewódzkie oddziały wszelchnicy — w Białymstoku, Rzeszowie, Krakowie, Zielonej Górze, Szczecinie, Gdańsku i Słupsku.

Jako gość Stowarzyszenia Polskich Artystów Muzyków bawił w naszym kraju dyrektor Instytutu Orffa w Salzburgu, prof. dr Wilhelm Keller. Austriacki pedagog wygłosił cykl odczytów poświęconych z demonstrowaniem stosowanych w kierowanej przez niego placówce metod umuzykalniania dzieci. Prelekcje i pokazy zorganizowane zostały w Warszawie, Poznaniu, Łodzi, Katowicach i Wrocławiu.

Leninogradska orkiestra symfoniczna latem wykona szereg koncertów w Hiszpanii, wezwanej w ZSRR wystąpiła zespół hiszpański — taneczny i wokalny.

Muzyk szwajcarski Peter Bigler otworzył w Genewie konserwatorium muzyki jazzowej. Studentów będą jednak musieli poznać także wszystkie inne kierunki muzyki.

W paryskiej Operze Komiennej odbyło się 1490 przedstawienie opery „Cyganka” Pucciniego. Dyrekcja twierdzi, że od dawna przeciętny wiek słuchaczy nie przekracza 30 lat.

We Francji wydawcy nut lub producentów płyt z nagraniami Bacha, Mozarta i Beethovena płacą taki sam podatek, jak handlarze kaworem.

Nagrodę stowarzyszenia kompozytorów brytyjskich za rok 1966 otrzymał Beattie.

W dniach od 13 maja do 17 czerwca odbywać się będzie w Bergamo i Brescii IV Międzynarodowy Festiwal Pianistyczny im. Arturo Benedetti Michelangeliego. W tym roku festiwal poświęcony jest Fryderykowi Chopinowi. Na liście zapowiadanych solistów niestety nie znaleźliśmy ani jednego Polaka.

Łosicach, Muzeum Regionalne Ziemi Zawkrzańskiej w Ciechanowie.

W Muzeum Pomorskim w Gdańsku powstał nowy dział — galeria sztuki współczesnej. Gromadzenie zbiorów do kolekcji reprezentującej głównie twórczość artystów Wybrzeża, zapoczątkowało Gdańskie Towarzystwo Przyjaciół Sztuki. Na początek muzeum otrzymało w darze od GTPS 36 obrazów i rysunków, 11 grafik i 2 rzeźby.

Amerycanie zwrócili trzy cenne obrazy, które skomiksowali podczas wojny. Ale zabrali je w Weimarze, a oddali rządowi w Bonn. Władze NRD wystąpiły protest do Waszyngtonu.

W Nowym Jorku w wieku 77 lat zmarł malarz grecki J. Keeron, przyjaciel Picassa i Braque'a. Był abstrakcjonista.

Polonica

W Kijowskim Muzeum Sztuki Zachodniej i Wschodniej otwarto wystawę prac listka Teatru Opery i Baletu w Kiszyniowie (Republika Mołdawska) i Tamara Czkonka — solistka Teatru Opery i Baletu w Kijowie.



To też Picasso. Tak namalował „Głowę kobiety” w 1901 r. Oryginał wystawiono niedawno w Pałacu.

Teatr

I jak co roku zanoszą się na zmiany w dyrekcjach teatrów. Za pewne uważa się zmiany w Poznaniu, Białymstoku, Gdyni, Koszalinie, Zielonej Górze, Gnieźnie. Trudno powiedzieć, aby sprzyjało to rozwojowi teatrów.

1208 tys. osób obejrzało w ciągu ub. roku przedstawienia czterech łódzkich teatrów dramatycznych, dwóch teatrów lalek, opery i operetki. Cyfra ta wykazuje spadek frekwencji widzów w porównaniu z rokiem 1965 o 5 proc.

Przy Krakowskim Domu Kultury powstał Dziecięcy Teatrzyk Wyobraźni, który prowadzi reżyser Zbigniew Poprawski. W teatryku dziełki same są reżyserami, aktorami i scenografami. W czasie 3-miesięcznego okresu wstępnego młodsi amatorzy wystawiali wysypane przez siebie krótkie scenki (etiudy). Obecnie przygotowuje się już normalne przedstawienie, oparte na ulubionej przez dzieci książce Jana Brzechwy pt. „Pan Drops i jego trup”.

W ramach sezonu międzynarodowego w dniach od 19 do 22 kwietnia wystąpił w londyńskim teatrze Aldwych teatr japoński — po raz pierwszy w Anglii. Powodzenie mierne.

Sztuka

Zarząd Okręgu Warszawskiego ZPAP przy współudziale WKZZ organizuje w Domu Artysty Plastyka w Warszawie cykl spotkań pn. „Konfrontacja”. Jest to pierwsza u nas próba stworzenia warunków bezpośredniej wymiany poglądów między twórcą a odbiorcami.

W Muzeum Ziemi Bydgoskiej im. Leona Wyczółkowskiego w Bydgoszczy otwarto wystawę grafik litewskiej. Ekspozycja obejmuje 237 prac 42 autorów. W Muzeum Miejskim w Bydgoszczy otwarto wystawę obrazów XIX-wiecznego malarza związanego z miastem nad Brdą — Maksymiliana A. Piotrowskiego. Wśród 78 obrazów olejnych i rysunków przeważają portrety.

W najbliższym czasie Mazowsze wzbogaci się o kilka nowych placówek muzealnych. Muzeum Pułaskiego w Warszawie, Muzeum Książąt Mazowieckich w Czersku, filię Muzeum Ziemi Podlaskiej w

W bibliotece Uniwersytetu Wrocławskiego doc. Andrzej Nowicki na książce (b. rzadkiej) „Quod nihil scitur”, wydrukowanej w Londynie w 1581 r., znalazł tekst, pisany wspaniale przez Giordano Bruno.

Czechosłowackie Stowarzyszenie Kulturalne w Polsce obchodziło w Krakowie 20-lecie istnienia.

W paryskim teatrze Champs-Elysées występowała w kwietniu śpiewaczka Ellane Lublin. Niestety nie więcej o niej nie wiemy.

W Hanoi podpisano znaczne rozszerzenie w porównaniu z rokiem ub. plan współpracy kulturalnej i naukowej pomiędzy ZSRR i DRW.

Kosztów 19 mln funtów szterlingów (ok. 25 mln dolarów) kole londyńskiego Piccadilly Circus ma powstać w kilka dziesiątka teatrów.

Ponad 200 intelektualistów Katalonii wystosowało list do hiszpańskiego ministra wychowania narodowego, domagając się dymisji rektora uniwersytetu w Barcelonie Garcia Valdecasasa, który umożliwił oddanie holdu pisarzowi katalońskiemu Jordi Rubio Balaguer.

Na odpowiedzialność prasy zachodniej: 4-letni mieszkaniec Korei południowej Kim Ung-Yong jest autorem dwóch tomów poezji, za niemiecki i angielski, zgłosił się do liceum.

Burmistrz Los Angeles Samuel Yortyh aby zyskać zwolenników w wyborach do senatu codziennie odwiedza dzielnice, gdzie prowadzi program rozrywkowy w telewizji. Jak dotychczas to aktywny zastępca politykami (George Murphy — senatorem, Ronald Reagan — gubernatorem). Teraz zaczyna się odwrócić.

Film

Na festiwalu filmowym w Oberhausen jedną z trzech głównych nagród w filmach dokumentalnych otrzymał film produkcji Tele-Ar „Nie mogłem długo” Jerzego Bednarczyka, za reżyserię jedną z trzech głównych nagród film rysunkowy „Wszystko jest liczbą” Stefana, który uświetnił, oraz specjalną nagrodę telewizyjną „Proszę mnie ogolić”.

Jeszcze w tym roku uruchomione zostaną w Łodzi i Krakowie pierwsze w kraju kina przystosowane do wyświetlania filmów na taśmie 70 mm. W 1968 r. planuje się otwarcie dużych tego rodzaju kin: w Katowicach, Szczecinie i Opolu. Pierwszym polskim filmem fabularnym 70 mm będzie zapewne „Pan Wolodyjowski” według Siemkiewicza, którego realizację podejmuje reżyser Jerzy Hoffman w WFF w Łodzi.

Do filmu biograficznego o Czajkowskim reżyser radziecki D. Tjomin zaangażował aktorkę amerykańską Shelley Winters.

Radziecki reżyser Iwan Pyriew rozpoczął prace nad przeniesieniem na ekran „Braci Karamazow” Dostojewskiego. Pyriew ma już w swym dorobku dwa filmy oparte na utworach tego pisarza. Są to — „Idiota” i „Białe noce”.

V Międzynarodowy Festiwal Filmowy w Moskwie odbędzie się w dniach 5-20 lipca pod hasłem — o humanizacji sztuki filmowej, o polskiej i przyjaźni między narodami. Dopuszczono tylko 24 filmy fabularne, ponadto odbędzie się konkurs na najlepszy film dla dzieci.

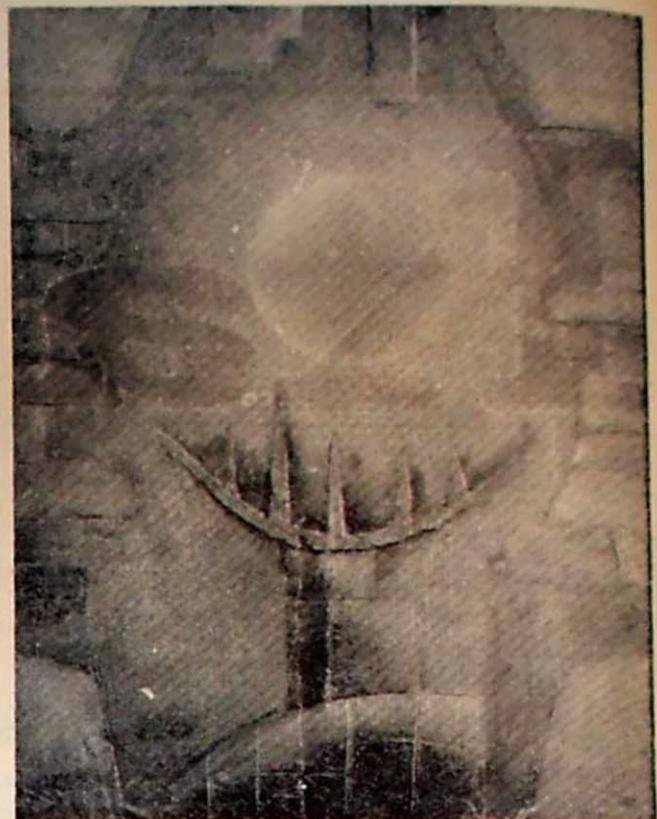
Norwieski reżyser Knut Bohwim nakręca na Wyspach Lotociec film „Wielki gra”. Jest to opowieść o dziejach norweskich ruchu oporu w okresie okupacji hitlerowskiej. W filmie występuje ok. 1000 statystów, w tym zalogi kilku polskich trawlerów, które zawinęły w tym czasie do Flekkerfjordu.



Monique Vaillant ubiega się o tytuł francusko-belgijskiego tygodnika filmowego „Cine-monde”, a potem ew. o tytuł Miss Uniwersum, co daje 10 tys. dolarów i widoki na karierę filmową.

Różne

Do czołowych inwestycji polskiej kultury w okresie najbliższych lat należy będąc wznoszone w Warszawie gmachy Biblioteki Narodowej. Kompleks gmachów o kubaturze 150 tys. m. stanie na parkowym terenie Pola Mokotowskiego, na działce nieco większej niż ta, która zajmuje Pałac Kultury. Budynki najwyższej jakości nadziemnych i podziemnych — przeznaczony został na magazyn o 5 mln tomów. Zarezerwowano obok miejsca pod budowę w przyszłości bliźniaczego wistowca.



MIKOŁAJ WOLKOWYCKI, twórca reproduktowanego tu obrazu, urodził się w 1925 r. Studia w warszawskiej ASP ukończył w r. 1958. Udział w wystawach: Wystawa Młodej Plastyki, Arsenal 1945; wystawa rzeźby, Warszawa 1948; „Warszawa w sztuce” 1958; Wystawa Czterech Województw — Lublin, Rzeszów, Kielce, Białystok 1963; „Przeciw Wojnie”, Lublin 1966. Brał udział w licznych konkursach krajowych i zagranicznych, uczestniczył w obu Ogólnopolskich Plenariach Białowiejskich 1958 i 1962, a także w Ogólnopolskim Plenarze w Zwierzycu. Laureat nagrody wojewódzkiej na III Festiwalu Polskiego Malarstwa Współczesnego w Szczecinie 1964. Mieszka w Białymstoku.

Notes

JÓZEF BARECKI

Zetknięcie z rzeczywistością

HANS Apel jest pisarzem amerykańskim niemieckiego pochodzenia, który nie przestał interesować się procesami przebiegającymi między Odrą i Renem. Jego publikacje o Niemczech wystawiają mu świadectwo ciekawego prawdy obserwatora, który — choć nie ukrywa swoich sympatii — stara się w miarę obiektywnie pokazać zaobserwowane fakty i dostrzeżony obraz.

Szczególnie interesuje Apela Niemiecka Republika Demokratyczna. Poświęcił jej już dwie książki, obecnie znajduje się w druku trzecia. Sądząc z wypowiedzi autora, książka, która niedługo ujrzy światło dzienne, będzie interesującym przyczynkiem do problemu niemieckiego. Chodzi w niej bowiem o obraz społeczeństwa NRD, o jego stosunek do własnego państwa i jego poglądy na sytuację panującą po drugiej stronie Łaby, w NRF.

Trudno nam sobie to wyobrazić, ale w Niemczech zachodnich panuje oficjalne przekonanie o negatywnym stosunku ludności NRD do swej władzy i swego ustroju. Pogląd ten — podkreśla Hans Apel — służył dotychczasowej bońskiej „polityce w sprawie Niemiec” za najmocniejsze i prawie nieodzowne oparcie oraz wykluczal wszelki zwrot, zmierzający do uznania drugiego państwa niemieckiego, już choćby dlatego, że zwrot taki równałby się — oprócz rezygnacji z własnego narodowego celu przywrócenia jedności — także niewybaczalnej jakoby „zdradzie” wobec przeważającej większości mieszkańców NRD.

Trudno powiedzieć, w jakim stopniu ta teza oficjalnych kół bońskich przyjmowana była za własny punkt widzenia przez przeciętnych obywateli NRF. Propaganda zachodniolemiecka musiała jednak wywierać niemały wpływ na stan ich umysłów i ugruntowywać antykomunistyczny stereotyp.

Problemowi temu poświęcił Hans Apel wiele uwagi. Ciekawe są przy tym jego uwagi o pierwszych sygnałach, świadczących przeciwko bońskiej tezie o nastroszach ludności NRD. W 1964 r. prawie milion mieszkańców zachodniego Berlina odwiedziło swoich krewnych w Berlinie demokratycznym. Porównanie z rzeczywistością obrazu ukształtowanego przez propagandę bońską stało się dla odwiedzających prawdziwym szokiem. Następnie potwierdziły pierwsze spostrzeżenia. Więcej — przekonywał wielu zbyt pewnych siebie gości, że nikt w Berlinie demokratycznym nie czeka na nich jak na bogatych wujków. Społeczeństwo

NRD przypięło odwiedzinom świątecznym etykietę „akcja szarańczy”, cała zaś impreza pozostawiła poczucie głębokiej obcości.

Hans Apel sam wybrał się do NRD. Pojechał tam z zamiarem zobaczenia na własne oczy, jaka jest prawdziwa postawa obywateli tego młodego państwa. Wybrał bardzo prostą metodę: zapisał po prostu wszystkie napotykanne osoby i zadawał im kilka tych samych pytań. Ogółem przeprowadził rozmowy z 365 mieszkańcami NRD. Opis i analiza otrzymanego materiału jest głównym tematem książki.

Jest oczywiste, że tego rodzaju sondy nie mają wiele wspólnego z badaniami, jakie mógłby przeprowadzić np. Instytut badania opinii publicznej. Apel to sam przyznał gdy pisze, że żaden z zanotowanych rezultatów nie może rościć sobie pretensji do dostarczenia reprezentatywnego obrazu poglądów całej ludności NRD, jednakże mimo ograniczonej wartości wypowiedzi rezultaty te mają pewne znaczenie dla wyjaśnienia niektórych tendencji, których istnienie, kierunek i zasięg ignoruje się w Niemczech zachodnich.

O jakie tendencje chodzi?

Pierwsze pytanie, jakie zadawał Apel swoim rozmówcom, brzmiało: czy założycy, że byłoby to możliwe, woleliby oni żyć w NRF, czy też pozostać w NRD? Odpowiedzi udzieliło 359 osób, za pozostaniem w kraju odpowiedziało się 287 osób, za wyjazdem — 72, przy czym większość tych ostatnich motywowała swoją odpowiedź względami nie mającymi nic wspólnego z negatywnym stosunkiem do NRD. „Wolimy zostać w kraju, gdzie mamy zapewnioną przyszłość. Republika Federalna jest nadal ostoją dążeń odwetowych, hitleryzmu i kapitalu monopolistycznego, gdzie robotnik nie może zdobyć żadnych praw ani zabezpieczenia socjalnego. Tu nam się przecież dobrze powiodło, mamy taką samą swobodę jak tam... Po tamtej stronie każdy myśli tylko o sobie i zarabianiu pieniędzy” — oto niektóre tytuły z odpowiedzi, uzasadniających negatywny stosunek do wyjazdu za granicę. Apel wyciąga z tego wniosek, że szerokie warstwy ludności NRD całkowicie wewnętrznie akceptują swoje państwo.

Następne pytanie brzmiało: jeśli mógłby pan dokonać swobodnego wyboru między obiema państwami w NRF większymi szkodliwymi socjalnymi a rzekomo istniejącą w NRF większą wolnością osobistą — co uznałby pan za ważniejsze?

(Dokończenie na str. 3)

(Dokończenie ze str. 1)

INŻ. MARIAN GALAS (18), asystent dyrektora naczelnego.

Rozmawiał pan z dyrektorem? Ten okres w mojej pracy zawodowej nie różnił się absolutnie niczym od problemów, jakie stały przed dyrektorem Krupa. Moim zadaniem jest przefiltrowanie spraw i problemów, które napływają do dyrektora.

PIOTR ADAMCZUK (15), starszy w Dziale Kontroli Technicznej.

W moim życiu osobistym nie zaszły żadne zmiany. Nadal jestem kawalerem, co pozwala mi na aktywniejszą działalność społeczną. A w tej dziedzinie osiągnąłem kilka sukcesów. Wybrano mnie do Zarządu Głównego Zw. Zawodowego Metalowców, zostałem członkiem Prezydium Zarządu Okręgu

tegoż związku oraz delegatem na VI Kongres Związków Zawodowych. Związek nasz jest stary, dobrze zorganizowany, ma liczną kadrę świetnych działaczy. Ja mam dopiero 30 lat, uważam więc, że te dowody uznania są dla mnie szczególnie cenne.

STEFAN MICHALUK (5), I sekretarz Komitetu Zakładowego PZPR.

Zostałem ponownie I sekretarzem KM PZPR. Sprawa prywatna to ukończenie II roku studiów na WSI. Choć właściwie nie jest to sprawa prywatna. W takim zakładzie jak nasz sekretarz organizacji partyjnej musi znać problemy techniczne. Inaczej wtedy patrzy na pewne sprawy, inaczej rozmawia z ludźmi. Wprawdzie z wykształcenia jestem technikiem-mechanikiem i przez wiele lat pracowałem w FSC bezpośrednio przy produkcji, ale świat się zmienia i nie można stać w miejscu. Wiedza, która dziś jeszcze zaspokaja nasze potrzeby, jutro może stać się niewystarczająca.

JAN KORNACKI (10), sekretarz organizacyjny KZ PZPR.

Na ostatniej zakładowej konferencji PZPR wybrano mnie sekretarzem KZ. Otrzymałem też złotą odznakę im. Janka Krasickiego.

ALEKSANDER PIONDLO (1), elektryk, przewodniczący Rady Robotniczej.

Od roku 1935 mieszkałem z żoną u teściów. W tym czasie rodzina mocno się powiększyła. W 1966 r. otrzymałem na Tatarach trzy pokoje z kuchnią. Wszelkie wygody. Pierwszy raz tak mieszkam. Złożyłem sobie telefon — też pierwszy raz w życiu. W roku ubiegłym otrzymałem Odznakę Tysiąclecia.

INŻ. BOLESŁAW URBAŃSKI (7), emeryt.

Jestem już na rencie, lecz w pocho dach zawsze idę z żoną do FSC. Zresztą jestem rencistą, który nie nudzi się. Działam w Towarzystwie Naukowej Organizacji i Kierownictwa i w Stowarzyszeniu Inżynierów Mechaników, występuję też jako biegły sądowy. Rok 1966 był dla mnie osobliście i pomyślnie i nie wróciłem do zdrowia po dwóch ciężkich operacjach. W grudniu byłem w sanatorium w Krynicy. To plusy. Minusy: chorują żona i córka.

MIKOŁAJ MARTYCHOWICZ (16), technik w Dziale Głównym Mechanika.

Pracuję w nadzorze technicznym jako starszy inspektor gospodarki

smarowniczej. To długi tytuł, więc powszechnie nazywają mnie smarownikiem. Najważniejsze wydarzenie w moim życiu to dostanie się, po dwóch latach starań, na studia mechaniczne w WSI. Jak dotychczas udaje mi się pogodzić studia i naukę znacznie lepiej niż przypuszczałem. Co? Kto smaruje, ten jedzie?

KONRAD KACZMARCZYK (8), przewodniczący Rady Zakładowej.

W roku ubiegłym zmarł mój teść. Darzyłem go wielkim szacunkiem, przez 15 lat przyjaźnił się. Przyjeżdżałem do niego często. Drugie najważniejsze przeżycie to śmiertelny wypadek przy pracy, jaki zdarzył się w naszej fabryce. Rada Zakładowa, w której właśnie objąłem stanowisko przewodniczą-

cego, zajęła się tym bardzo poważnie, podobnie zresztą jak inne organizacje a także dyrekcja. Odbyliśmy wiele posiedzeń i narad. Stwierdziliśmy, że wypadki wynikają z nieprzestrzegania przepisów zarówno przez poszkodowanych, jak i przez dozór techniczny. Zastosowaliśmy więc szereg środków zapobiegawczych. Druga ważna sprawa: fabrykę obciążono obowiązkiem wykonania dodatkowej produkcji wartości 100 mln złotych. Nie powiedziano nam jednak co mamy robić i komu to sprzedać. Dyrekcja musiała sama się o to starać, lecz Rada Zakładowa też była tym żywo zainteresowana, bo niewykonanie tej produkcji odebrałoby zakładzie premie.

Inne ważne sprawy ub. roku dotyczyły problemów wypoczynku. Odkupiliśmy od milicji ich ośrodek wypoczynkowy w Firleju, sąsiadujący z naszym. Zapłaciliśmy 750 tys. złotych. Dzięki temu na wczasy wysłaliśmy 400 osób więcej niż poprzednio, czyli 1600. Podjęliśmy decyzję o wybudowaniu w tym roku trwałego pawilonu, który pomieści klub, kawiarnię, sale telewizyjną, bilardową, pingpongową, do tańca oraz pokoje dla ratownika i lekarza. Będzie to kosztować milion czterysta tys. zł. Z czasem będziemy się starali wzniesić w Firleju budynki stałe. Tymi właśnie sprawami żyłem.

BARBARA DOBRŃ (17), skarbnik Rady Zakładowej.

Przez dziesięć lat pracowałam w dziale planowania Wydziału Samochodów Doświadczalnych. W ubiegłym roku wybrała mnie do Prezydium Rady Zakładowej, zostałam też przewodniczącą Komisji Kobiecej RZ. Spotykam się w nowej pracy z tyłoma interesującymi sprawami, że nie żałuję, iż nie pracuję zgodnie ze swoim wykształceniem (ukończyłam filologię francuską). Przeżyłcm osobistym było dla mnie pojęcie córki do I klasy szkoły podstawowej.

JAKUB BEDNARZ (14), brygadzi- sta z narzędziowni.

W lipcu 1966 r. ożeniłem się. Żona też pracuje w FSC. Poznałm się w fabrycznym zespole teatralnym. Niestety nie mamy mieszkania, ja więc korzystam z hotelu fabrycznego, żona ulokowana jest na stanej. Należę do spółdzielni mieszkaniowej, jednak wątpliwe bym otrzymał przydział wcześniej niż w roku 1969. Trochę głupio tak codziennie wieczorem odprowadzać żonę pod jej dom, a potem wracać do siebie. A przecież mam już 26 lat, więc nie można mówić, że ożeniłem się przedwcześnie.

INŻ. WACŁAW STRZAŁKOWSKI (3), sekretarz KZ PZPR.

W marcu 1966 r. opuściłem stanowisko zastępcy kierownika Działu Postępu Technicznego i przeszedłem do pracy partyjnej. To ważna zmiana. Powierzono mi propagandę. W ramy jej wchodzi m. in. sport. A właśnie załoga przeżywała porażki naszego klubu fabrycznego „Motor” i spadek z II ligi piłkarskiej. Teraz w tej dziedzinie nowy problem: czy uda się powrót do II ligi. To nie są tylko sprawy 11 panów w krótkich spodkach biegających za piłką. Zaangażowanie emocjonalne załogi wynikami rozgrywek jest jednym z czynników konsolidujących załogę. 95 proc. pracowników jest członkami wspierającymi „Motoru”. Oczywiście nie możemy ograniczać się tylko do sportu na pokaz. W zakładzie mamy liczne male boiska, na których ludzie mogą sobie pograć w czasie przerw, lub też przed czy po pracy. W ub. roku w spartakiadzie zakładowej brało udział ponad 4 tys. osób. Szkoda, że nie doprowadziłem do meczu dyrekcja kontra samorząd robotniczy, w bramkach naczelnicy i I sekretarz. Ale może w tym roku?

STANISŁAW PIKUL (4), ślusarz w Dziale Głównym Mechanika.

Jestem radnym MRN, a w ub. roku wybrano mnie członkiem Prezydium MRN. Poprzednio musiałem w radzie walczyć głównie o interesy swojej fabryki i swojej dzielnicy (Bronowice). Teraz trzeba na miasto spojrzeć szerzej.

JERZY BARTNICKI (11), zastępca kierownika Wydziału Rdzeniarni.

W zeszłorocznym pochodzie maszerowałem jeszcze jako pracownik ZW ZMS, oddelegowany tam ze stanowiska starszego technologa. Niedawno wróciłem do FSC. Po dwóch miesiącach zostałem zastępcą kierownika.

HENRYK SZAGDAJ (2), formierz w odlewni.

W roku 1966 uzyskałem tytuł mistrza. Kurs i przygotowania do egzaminu trwały pół roku. Zdopięgały mnie do tego zarówno ze strony dyrekcji, jak i załogi. Tak, tak. Ludzie wolą współpracować z kimś, kto lepiej zna swój fach. Rodzina nie jest zachwycona, bo mam dla niej teraz mniej czasu. Zostałem członkiem KM i KW PZPR.

INŻ. HENRYK PAWŁOWSKI (9), wicedyrektor fabryki.

Rok, jak co rok. Żadnych zmian. Nie rozwiodłem się, a zatem i nie ożeniłem się ponownie. Nie powiększyła mi się rodzina. Nie chorowałem. Nie zmieniłem miejsca pracy. Miałem sporo różnych trudnych problemów w pracy, ale miałem je też w latach minionych i zapewne będę miał w następnych. Z chęcią bym wymyślił coś efektywnego na użytek „Kamenu”, ale jestem technikiem i nie bardzo potrafię.

Rozmowy przeprowadził Romuald Wiśniewski

NOWA POEZJA ROSYJSKA

w przekładach

Kazimierza Andrzeja Jaworskiego

EUGENIUSZ WINOKUROW

Moja przeszłość

Znów nowa trawa razem z nową wlosną. Nie wie o tej, co była przed rokiem. Po co ma wiedzieć? Tylko żyć i rosnać: Lżej bez pamięci czerpać z ziemi soki.

Ale co ze mną? Zabrałem w gęstwinę Wspomnień. Jak wyjść mam na światło z tych cieni? Świat tamtych dni! Wszak dawno już przeminął. Dawno go nie ma i nie się nie zmienił.

Był no i zniknął jak miraż w pustyni. Piętnaście lat — rachunek niby prosty, A ja wciąż błędę i błędę w gęstwinie I twarz mam w bliznach od gałązek chłosty.

NOWEŁŁA MATWIEJEW

Hiszpańska piosenka

Ach, jak długo, długo jedziem! Jaka trudna w górach droga! Ledwo widać sierść poprzec mgły opary. Ach, jak cicho w całym świecie! Tylko czasem spod nóg męła Z hukiem spadnie do przepaści kamień szary.

Cisza. Tylko piosnkę śpiewa O miłości wciąż poganiacz. Tylko piosnkę o miłości śpiewa wciąż poganiacz I chwilami mu się wstrząśnie I dzwoneczek na nim drżący I dzwoneczek na nim drżący głośniejsz się rozdzwania.

Prędzej, pośpiesz się, mój mule! Chciałbys już senności ulec — Prędzej, moja miła nas tam oczekuje. Ty napijesz się z potoku, Zdejmę wór, uwolnię z troków I poklepię cię i w pysk cię pocałuję.

Ach, jak długo, długo jedziem! Jaka trudna w górach droga! Ledwo widać sierść poprzec mgły opary. Ach, jak cicho w całym świecie! Tylko czasem spod nóg męła Z hukiem spadnie do przepaści kamień szary.

RIMMA KAZAKOWA

Kochasz po prostu, otwarcie jak młodzik — ni kroku w prawo i ni kroku w lewo. W miłości ci potrzebna nie królewna, ale prostota niewypytnej łodzi. Jam nie królewna, jam łódź niezawodna. Prosto toczona, lecz mocne me dlonie. Wierz mi jak niegdyś wierzyli przodkowie W moc łodzi prostej prując tonie wodne.

Nas pierwsze błędy uczył bardzo mało. Ale i inne także uczył mało. Nie po raz pierwszy pojął nie umiałam. I potem także nie bardzo umiałam.

Z ufnością trudno bardzo nam się rozstać. A często wcale nie można się rozstać. Rosnąc w ramionach, dojrzali tyjemy i wszystko jedno dzieciom zostajemy.

A więc co robisz? I czego pragniemy? Ach, takie samo dziecko znaleźć chcemy, Aby radością pomnożoną przez dwa przykrości mój podzielił choćby przez dwa.

Zetknięcie z rzeczywistością

(Dokończenie ze str. 2)

I znowu przytłaczająca większość zapytanych (258 osób bezwzględnie i kilkadziesiąt z zastrzeżeniem) wypowiedziało się za zdobyciami NRD. Więcej — wielu z nich korygowało pytanie: „Jesteśmy tu tak samo wolni jak po tamtej stronie” — stwierdzali.

Do tego tematu wróciło kolejne, pomyślane przez autora „jako kontrola i uzupełnienie” poprzednich pytanie: Brzmiało ono następująco: czy w NRD żyje się równie swobodnie jak w Republice Federalnej, czy też wręcz przeciwnie — większa wolność panuje na Zachodzie?”

„Abstrahując od osób — pisze Apel — które wstrzymały się od

odpowiedzi, za pierwszą możliwością wypowiedziały się 234 osoby. Biorąc pod uwagę poglądy, który na Zachodzie uchodził po prostu za aksjomat, że na Wschodzie w ogóle nie ma prawdziwej wolności osobistej — równie zdumiewający co i godny uwagi musi się wydawać fakt, że dwóch na trzech mieszkańców NRD nie widzi żadnej, posiadającej praktyczne znaczenie różnicy.

Odpowiedzi, jakie uzyskał Hans Apel w czasie przypadkowych zupełnie spotkań stały się dla niego taką rewelacją, że postanowił opracować je i wydać w formie książki. Dla nas, zwłaszcza dla tych, którzy mieli możliwość zwiedzenia NRD i rozmawiania z jej mieszkańcami, nie

ulega wątpliwości, że materiał zebrany przez Apela nie oddaje pełnej prawdy i w rzeczywistości procent ludzi, którzy całkowicie akceptują socjalistyczną treść tego państwa niemieckiego i nie tylko uważają je za swoje, ale aktywnie uczestniczą w jego budowie, jest znacznie wyższy. Apel nie żywi zbyt wielu sympatii do NRD. Stara się jednak o przekazywanie chociaż części prawdy o tym kraju. A w sytuacji, kiedy propaganda zachodniemiecka maluje na czarno obraz stosunków w NRD jest to na pewno bardzo wiele.

J. Barecki

Kamena str. 3

TO NIE SZYLD ZMIENIA CZŁOWIEKA

Rozmowa z Witoldem Kasperskim — prezesem Centralnego Związku Spółdzielni Budownictwa Mieszkaniowego

TAK prawdę napisawasy liczyłem trochę na kumoterstwo przegotowując sobie rozmowę z człowiekiem, który należy do najbardziej zalety w Polsce. Przecież Witold Kasperski, prezes Centralnego Związku Spółdzielni Budownictwa Mieszkaniowego, pochodzi z Chelma, tu zaczynał pracę jako nauczyciel, tu jeszcze przed wojną wydal trzy tomiki poezji („Dębowe progi”, „Fale mojej rzeki” oraz „Przemiany”), był w gronie tych, którzy asystowali przy narodzinach „Kamena”, właśnie „Kamena” drukowała fragmenty jego powieści „Nauczyciel”, do dzisiaj wreszcie utrzymuje osobiste kontakty z dawnymi przyjaciółmi i kolegami z Chelma i Lublina.

Spółdzielczość ma nie tylko w decydujący sposób przyczynić się do rozwiązania problemu mieszkaniowego w Polsce, ale równocześnie kształtować zarówno nowego człowieka jak i urbanistykę i architekturę nowych osiedli. Tymczasem budynki, w którym mieści się centrala CZSBM to jeden z tych nielicznych gmachów starej Warszawy, który z wojny wyszedł względnie obronnie. Dawniej napisalibyśmy: mieści się w centrum Warszawy (ul. Jasna). Dziś musimy napisać: na zapleczu wschodniej ściany ul. Marszałkowskiej. I nie wiem, czy jest trochę paradoksu czy symbolu w fakcie, że nowe rodzi się właśnie w starych murach. No ale czas na rozmowę — prezes zjawia się dokładnie 15 sekund przed wyznaczonym czasem i z taką samą punktualnością musi być na następnym spotkaniu.

— Czy pan prezes zamierza skończyć ową przedwojenną powieść, a może coś się tam już pisze?

— Nie, nie — macha ręką mój rozmówca. — Mam wiele sentymentu do owych czasów, do wspomnień z okresu chelmskiego, ale to już całkowicie zamknięta karta. Zmieniły się zainteresowania i po prostu nie mam czasu na literaturę poza dorywczym czytaniem.

— A więc mówimy tylko o spółdzielczości mieszkaniowej. W dwóch poprzednich pięciolatkach oddano w kraju do użytku 178.322 mieszkania spółdzielcze. Jak w tym układzie wygładają nasze cztery województwa?

— Razem dostały 22.680 mieszkań, w tym najwięcej woj. lubelskie — 7.050, a najmniej woj. rzeszowskie — 3.579. Ale myślę, że na to zagadnienie trzeba spojrzeć także z innej strony. Po pierwsze udział tych województw w puli ogólnokrajowej chociaż nieznacznie, ale wzrasta. W pięciolatce 1956—60 wyniósł on 12,4 proc., w następnej 12,8.

— Trudno powiedzieć, aby to był wzrost szokujący...

— Oczywiście, ale w innych województwach też żyją ludzie i też mają określone potrzeby. Ale proszę wziąć pod uwagę, że w bieżącym planie pięcioletnim udział wazszych województw wzrasta do 14,3 proc. A przecież wystarczy zajrzeć do Rocznika Statystycznego aby stwierdzić, że ludność miejska w tych 4 województwach stanowi 12,1 proc. ludności miejskiej w całym kraju. W tej sytuacji można raczej mówić o pewnym uprzywilejowaniu waszego rejonu. Co więcej — liczba mieszkań przekazanych członkom w latach 1961—1965 w całym kraju była wyższa 3,89 raza niż w latach 1956—60. Tymczasem w wazszych czterech województwach wskaźnik wzrostu wyniósł 4,03, a w woj. białostockim aż 4,78, najmniej w kieleckim — 3,49. Także udział budownictwa spółdzielczego w całym miejskim budownictwie upoleconym w obu pięciolatkach jest nieco wyższy od przeciętnej krajowej. Rozumiem, że każde województwo chciałoby możliwie najszybciej rozwiązać wszystkie swoje kłopoty mieszkaniowe, że każdy się niecierpliwi. Ale realizacja tych postulatów zależy w głównej mierze nie od nas — chodzi tu przede wszystkim o tzw. moc produkcyjną przedsiębiorstw wykonawczych, następnie przygotowanie terenów itd. W każdym razie wydaje mi się, że nie możemy narzekać, iż władze spółdzielcze nie doceniają wazszych pilnych potrzeb.

— Mija właśnie 10 lat od chwili, gdy w związku z nową polityką mieszkaniową państwa zaczęła się odradzać spółdzielczość mieszkaniowa. Czy mogłoby pan prezes podać, jak następował ten rozwój?

— Na koniec 1956 r. mieliśmy w całym kraju zaledwie 35 tys. człon-

ków, z tego w woj. lubelskim 400, kieleckim 300, białostockim 200 i rzeszowskim 100. W ciągu następnych 4 lat właśnie w wazszych województwach nastąpił niezwykle burzliwy rozwój. Podczas bowiem gdy liczba członków w kraju zwiększyła się 4 razy, u was aż ponad 15 razy. Na koniec ub. roku mieliśmy w całym kraju 755,8 tys. członków i kandydatów, a w 4 interesujących nas województwach 89,1 tys. Pierwsze miejsce zajmuje tu woj. lubelskie — 33,1 tys., następnie kieleckie 22,7 tys., białostockie 19,2 tys. i rzeszowskie 14,1 tys. Razem więc kandydaci i członkowie z wazszych województw stanowią 11,8 proc. ogółu.

— To są cztery bezwzględnie. Myślę jednak, że trzeba wziąć pod uwagę liczbę mieszkańców miast w poszczególnych województwach. Spółdzielczość mieszkaniowa nie wkroczyła bowiem jeszcze na wieś, a właśnie nasze województwa są wybitnie rolnicze i cyfry bezwzględne mogłyby wprowadzić tu pewne zaciemnienie obrazu.

— Zrobiliśmy również takie obliczenia i okazuje się, że liczba członków i kandydatów na tysiąc

wierających 1.188.500 izb mieszkalnych. Z tego 4 wasze województwa otrzymują 59.350 mieszkań (172.320 izb), co stanowi 14,3 proc. całości. Pierwsze miejsce zajmuje woj. lubelskie — 19.600 mieszkań, dalej woj. kieleckie 17.600, woj. białostockie 11.200 i rzeszowskie 10.950 mieszkań. Jak wiadomo budownictwo spółdzielcze składa się z trzech rodzajów: powszechnego, resortowego i zakładowego. Otóż w budownictwie powszechnym udział wazszych województw w puli ogólnokrajowej wynosi 15,9 proc., natomiast w resortowym tylko 12,8 proc., a w zakładowym 10,7 proc. Jest to zapewne związane z ogólnym potencjałem przemysłowym każdego z województw i nie moja rzecz jest wydawać opinie, czy taki udział jest słuszny czy nie. Tak prywatnie jednak myślę, że np. 600 mieszkań w ciągu 5 lat dla woj. białostockiego w budownictwie resortowym to trochę mało. Stanowi bowiem 0,7 proc. budownictwa resortowego w kraju, podczas gdy udział wartości produkcji przemysłowej jest w skali krajowej dwa razy większy.

— Nadszedł jednak moment na postawienie bardzo druzgocznego, ale dla



Lubelska Spółdzielnia Mieszkaniowa.

Fot. A. Polakowski

mieszkańców miast w wazszych województwach wzrasta szybciej niż przeciętnie w kraju. W 1956 r. na tysiąc mieszkańców miast w kraju było 2,8 członków, u was tylko 0,7 — w tym woj. lubelskie 1,1 a woj. rzeszowskie 0,4. A więc współdzielenie — trochę to brzydki, ale obiegowe słowo — było u was 4 razy mniejsze niż przeciętnie w kraju. Ale na koniec roku ud. sytuacja była już całkowicie inna. Wskaźnik krajowy wyniósł 48,2, a u was 47,8. Myślę, że wyrównanie jest bliskie. Przeprowadźmy znowu woj. lubelskie ze wskaźnikiem 65,7 członków i kandydatów na tysiąc mieszkańców miast, następnie woj. białostockie 50,4, kieleckie 41,1 i rzeszowskie 33,1. Chciałbym jednak dodać, że ostatnie województwo w ciągu ub. roku polepszyło swoje wskaźniki o 50 proc., to znaczy o więcej niż trzy pozostałe i więcej niż przeciętna w kraju.

— W ślad za zgłoszeniami idzie oczywiście wzrost wkładów na mieszkaniowych księżeczkach PKO. Nie jest chyba niedyskretną zastrzeżeniem do tej części spółdzielczej buchalterii?

— Jeżeli bez nazwisk to oczywiście nie. Otóż w końcu 1959 r. wkłady w całym kraju wynosiły 86,5 mln zł, w wazszych województwach 8,6 mln zł — z czego w woj. kieleckim zaledwie 519 tys., a w lubelskim niemal dziesięć razy więcej. Dzisiaj jedno tylko woj. białostockie ma prawie tyle, co wtedy cała Polska. Ogółem w kraju na księżeczki mieszkaniowych PKO mamy teraz 2.694 mln zł, z tego w wazszych województwach 370,6 mln złotych.

— Zabrzmiało trochę w różne cyfry, których pismo kulturalne raczej nie lubi, ale myślę, że bez nich nie można pokazać ani dynamizmu rozwoju spółdzielczości mieszkaniowej, ani jej wstępującej roli w rozwiązywaniu problemu mieszkaniowego. Może teraz pan prezes powie o planie bieżącej pięciolatki?

— W całym kraju przybędzie 414.710 mieszkań spółdzielczych, za-

członków i kandydatów najbardziej istotnego pytania. Otóż spółdzielnie mieszkaniowe w kraju mają 736 tys. członków i kandydatów, natomiast na koniec 1970 r. spółdzielczość będzie posiadała 573 tys. mieszkań, z czego wynika, że 180 tys. dzisiejszych kandydatów nadal będzie kandydatami, albo członkami bez mieszkań, co na jedno w praktyce wychodzi. W wazszych czterech województwach niedobór wyniesie 14 tys. mieszkań, z tego 8 tys. w woj. lubelskim, 4 tys. w woj. białostockim, w pozostałych po tysiącu. A przecież nowi kandydaci wciąż przybywają?

— Problem rzeczywiście nie jest łatwy do rozwiązania. W grę wchodzi tu bardzo skomplikowane czynniki ekonomiczne, materiałowe i techniczne. To przeciętnego kandydata nie interesuje, on tylko stwierdza, że okres wyczekiwania jest zbyt długi. Ale wbrew doświadczeniom powszechnemu mniemaniu musimy stwierdzić, że środków finansowych na zwiększenie planu jeszcze obecnej pięciolatki nie brakuje. Odwrotnie — władze mówią nam: budujcie ile możecie, przekraczajcie plany w możliwie największym stopniu. Wszystko rozbija się przede wszystkim o niedostateczną moc produkcyjną przedsiębiorstw budowlanych, które nam nie podlegają. To sprawa resortu budownictwa i władz terenowych. Jeżeli tylko przedsiębiorstwa będą mogły wykonać więcej, my damy więcej środków. Na dalszy rozwój przedsiębiorstw budowlanych władze centralne przeznaczyły ostatnio duże sumy. Od tego, w jakim tempie i w jaki sposób zostaną one wykorzystane w terenie zależy zwiększenie owych mocy produkcyjnych. Ale oczywiście cudów oczekiwać nie należy. Poziom zaspokojenia potrzeb mieszkaniowych jest funkcją ogólnych warunków ekonomicznych, które można i trzeba odpowiednio kształtować, ale których na siłę nagażać nie wolno.

— Czy do Centralnego Związku Spółdzielni Budownictwa Mieszkaniowego docierają skargi członków i mieszkaniec na niedostateczny

standard mieszkań, na ich zbyt małą powierzchnię, jakość?

— Oczywiście tak. Jeżeli chodzi o jakość to sprawa do załatwienia pomiędzy poszczególnymi spółdzielniami a przedsiębiorstwami budowlanymi. Ale powiedzmy sobie prawdę — często właśnie nacisk spółdzielców powoduje, że mieszkania kończą się zbyt pospiesznie, a wskutek tego niedbale. Układ funkcjonalny mieszkań jest również nie zawsze właściwy. Staramy się go poprawić, likwidujemy pośrednio oświetlone kuchnie, prześciewe pokoje itp. Mamy prawo poprawiania wojewódzkich zestawów dokumentacji, oczywiście bez łamania zasad konstrukcji i projektów technologicznych, chodzi bowiem o możliwe najlepsze wykorzystanie istniejących baz zaplecza technicznego. Dajmy do tego, aby likwidować najmniejsze mieszkania, aby średnia powierzchnia osiągnęła możliwie najszybciej górną granicę normatywu, a nie dolną jak to jest jeszcze w wielu wypadkach. Myślmy o wprowadzeniu trwałych elewacji, lepszych drzwi i okien itp. Sądzę, że w następnych latach osiągniemy widoczną poprawę.

— Jednym z istotnych zadań spółdzielczości jest praca społeczno-wychowawcza. Może trudno to przeprowadzić takie porównania, jak w wypadku realizacji czy planów inwestycyjnych. Może więc pan prezes jeszcze powiedzieć kotojco coś o poszczególnych województwach?

— W białostockim najlepiej przedstawia się praca z dziećmi, oparta o szeroką współpracę z TPD. Istnieją tu 23 koła z 750 członkami.

W nie najlepszych warunkach pracuje 12 klubów i świetlic w woj. rzeszowskim. Bardzo dobra współpraca zarządu Oddziału CZSBM i Liga Kobiet i TPD, w czym bardzo angażuje się posłanka p. Augustynowa. Dzięki współpracy z Ligą Kobiet w Przemyslu i w Rzeszowie zorganizowano wystawę pod hasłem „Mieszkamy racjonalnie i estetycznie”. Wystawę rzeszowską zwiedziło ok. 20 tys. osób, były spotkania z architektami, pokazy nowych sprzętów kuchennych, tkanin dekoracyjnych, racjonalnego żywienia itp. W Rzeszowskiej SM działa wzorowo prowadzona spółdzielnia dziecięca pod opieką p. Chmurowej. W Łańcucie społecznym sumptem, przy udziale miejscowych artystów, wyposażono bardzo miły klub i zorganizowano niezły kabaret.

— Może jeszcze jedno pytanie, jak by w konsekwencji poprzedniej powieści. Czy wskutek obniżenia skoku działalności inwestycyjnej spółdzielni mieszkaniowej nie przegrywają roli wydziałów kwaterynarskich rad narodowych? Czy wskutek tego, że kryterium przyjmowania do spółdzielni przesunęło się zdecydowanie na cenę majątkową, nie ulegają osłabieniu efekty pracy społeczno-wychowawczej, czy pomiędzy prostym członkiem spółdzielni a jej zarządem nie powstaje zbyt wiele szczeliny o charakterze biurokratycznym?

— Sprawa niewątpliwie skomplikowana i trudno dać jednoznaczny odpowiedź. Mówi pan — cenę majątkową. Ale przecież taki właśnie nie cenusz istniał zawsze, wprawdzie w różnej formie, ale w końcu kandydat na spółdzielcę musiał dysponować jakimś wkładem. Po drugie — rozrost spółdzielni w tej chwili nie jest ilościowo tak wielki. Mamy w kraju ok. 1.100 spółdzielni mieszkaniowych, ale aż 71 proc. działalności inwestycyjnej skupia się w 90 spółdzielniach. Rektorskie obawy dotyczą więc tylko tej setki, która zresztą w miarę upływu czasu będzie się powiększała. Ośrodkiem aktywności społecznej członków stają się obecnie osiedla spółdzielcze.

— Ale nie nazwa czy szyld spółdzielni zmienia człowieka. Przecież ogólne warunki naszego ustroju i same w sobie kształtują innego człowieka niż przed wojną, wytworząją nowe normy współżycia społecznego, uczą poszanowania wspólnego dobra, zachowując własność prywatną przesuwać jednak punkt ciężkości na dobro społeczne. Wielka akcja czynów społecznych uczy wspólnego działania, lempolepszenia warunków bytowych. Wszystko to wytworza społeczne więzi, które przedtem znajdowały swój wyraz tylko w spółdzielczości, a teraz we wszystkich dziedzinach życia. To nie spółdzielczość utraciła swoje walory, ale te walory stają się coraz bardziej powszechne także poza tym, co jest formalnie zrzeszone w spółdzielczości.

— Proszę wziąć pod uwagę, że w ciągu 10 lat ilość naszych członków i kandydatów wzrosła ponad 21 razy, a ilość mieszkań spółdzielczych 10 razy. Takiego gwałtownego wzrostu nie mogłoby wytrzymać żadne przedsiębiorstwo bez podstawnego rozrostu aparatu administracyjnego. Tak musiało być i u nas, zwłaszcza w dużych spółdzielniach. Zdamy sobie sprawę, że trzeba zmienić metody działania i już je zmieniamy. Uważamy np., że już nie zarząd spółdzielni musi mieć bezpośredni kontakt z każdym spółdzielcą, a rada i administracja osiedlowa, a więc także czynnik społeczny, zastępująca zarząd w ramach jednego osiedla. Powołujemy administratorów osiedli, których jednocześnie dokształcamy, jest np. takie studium przy UMCS. Pragniemy stworzyć szkoły pomaturalne dla przyszłych administratorów Spółdzielni „Przymorze” zorganizowała uniwersytet spółdzielczy dla kandydatów — 70—80 osób słucha wykładow 2 razy w tygodniu. Mózg o tym, aby taki uniwersytet zorganizowano w Lublinie. Celowo utrzymywana ściślejszych kontaktów z członkami i kandydatami wiele spółdzielni wydaje okazywane biuletyny. Nie zaniedbujemy oczywiście dotychczasowych form. Wkrótce zdamy egzamin. Czy to wystarczy? Chyba nie, dlatego wciąż szukamy nowych kontaktów ze spółdzielcami, czekamy na stażycy, które rodzą się w spółdzielniach. Sądzę także, że obok kultury osiedlowej, która dotychczas pochłania nasze główne wysiłki, trzeba z kolei położyć większy nacisk na kulturę mieszkaniową — a więc jego utrzymanie, meble, tapetę itp.

— No i na zakończenie coś jeszcze dla Lublina z okazji 10-lecia istnienia Lubelskiej Spółdzielni Mieszkaniowej...

— Dużo dobrych życzeń. Osiedla LSM należą do najpiękniejszych w kraju. I ludzie wydają się tam żyć i piekniejsi, a dzieci miłsze. Wzrost im duży szczęścia osobistego oraz piękniejszego życia i dalszego pomnażania wartości społecznych i twórczego działania.

Rozmawiał: Jerzy Dostali

Zrzutek partyzant, działacz

Fragmenty ze wspomnień Wacława Różgi

Ponad 700 zweryfikowanych pseudonimów partyzantów polskich z prawdziwymi nazwiskami, imionami i często dalszymi losami, wiele fotografii i zdjęć mających wartość historyczną, różne dokumenty z pierwszych lat tworzenia się Polskiej Ludowej — to bogate archiwum prywatne Wacława Różgi, in. in. ps. Michałowski, Stefaniak, czekające jeszcze na opracowanie. Wspaniały gawędziarz — W. Różga przy każdej okazji opowiada nie tylko oficjalną stronę historii, ale zarazem przekazuje różne niedyskrete, anegdotalne i dziwne zdarzenia, które w ciągu ponad 33 lat walki zdarzały się w ciężkim życiu rewolucyjnym, partyzanta i działacza polityczno-społecznego.

Urodzony w Wadliwie w pow. piotrkowskim 23.II.1911 r., wstąpił do KPP w 1932 r. Dwukrotnie więziony przez sanację, żołnierz Batalionów Robotniczych Obrony Warszawy w 1939 r., po klęsce przekroczył Bug i był dyrektorem garnizonu w Moskwie wraz z 13 innymi działaczami partyjnymi został zrzucony na Polesie, skąd cała grupa wraz z... (cała grupa) przedrzeć się do Polski, aby nawiązać kontakt z PPR i partyzantką polską. Współorganizator i zastępca dowódcy Brygady AL im. Ziemi Lubelskiej (ps. Stefan), współorganizator konspiracyjnej WRN Lubelskiej, uczestnik bitew w lasach Janowskich i Puszczy Solskiej, po wyzwoleniu sprawował m. in. funkcję II sekretarza KC PPR w Lublinie, wojewody lubelskiego od 13 lutego 1945 r. do 18 lutego 1949 r., wojewody kieleckiego, przewodniczącego Komisji Rewizyjnej KC, wiceministra PGR, a ostatnio prezesa Woj. Związku Kółek Rolniczych w Lublinie i obecnie przewodniczącego Woj. Komisji Kontroli Partyjnej w Lublinie.



— Kto wchodził w skład grupy skoczaków — pytam — zrzuconych na początku września 1943 r.?

— Pierwsza, tzw. podstawowa grupa obejmowała 14 osób: Alexand Józef (ps. Kazek), Leon Bielicki (ps. Lonek), Ignacy Borkowski (Wicek), Marian Czerwiński (Marian), Kandel (Andrzej) — właściwie imienia nie pamiętam, Leon Kasman (Janowski), Szymon Krakowski (Szymon), Stanisław Kurland (Józef), Wacław Marek (Pola), Wanda Michalska (Irka), Zdzisław Turlejski (Zdzisiek), Zofia Wiśniewska (Zocha), Kazimierz Wyrwas (Michał) no i ja pod pseudonimem Stefan. Dziś równo połowa już nie żyje. Skakaliśmy z „Dougłosa” radzieckiego.

— Gdzie to nastąpiło?

— Zrzucono nas koło wsi Kolanowo w rejonie Janowa Pińskiego. Był to rejon działania radzieckiej brygady partyzanckiej Iwana Gregorowicza Czubikidze, w skład której wchodził oddział partyzantów polskich imienia T. Kościuszki. Trzeba było jednak mieć ludzi do przeniesienia broni do kraju. Mnie przypadł w udziale werunek ludzi. Nie była to łatwa sprawa. W wyniku propagandy sanacyjnej, okazała się część tamtejszej ludności była nastawiona antyradziecko. Ale te nastroje już się zmieniły. Okazało się bowiem, że to partyzanci radzieccy bronili polską ludność przed napadami i mordami faszystów ukraińskich. Dzieki temu i nasz oddział zaczął rosnąć w sily.

— Aby mocniej związać ludzi z nami, postanowiliśmy zorganizować uroczystą przysięgę. Proszę pamiętać, że działo się to 24 lata temu, że szczególną rolę w tym odegrał jeszcze bardzo silnie tradycyjny autorytet księdza. Postanowiliśmy więc przywieźć polskiego księdza dla zaprzysiężenia oddziału. Najbliższy mieszkał w Wielkiej Głuszy — 40 km od nas. Wskazywaliśmy w trzech na konie i pojechaliśmy. Po drodze na skraju jakiejś wsi zauważyliśmy 3 ludzi, którzy zaczęli szybko uciekać. Byliśmy przygotowani na strzelaninę, ale okazało się, że wiać była polska, a ci uciekający to wartownicy, którzy mieli alarmować wieś w razie niebezpieczeństwa. Pojawienia się bandy nacjonalistów ukraińskich, skończyło się na pokaznej porcji bimbru, pełnych talerzach jajecznicy i rozmarzonych łożkach, z których wygoniono trzy zaspasane dziewczyny.

— W Głuszy Wielkiej stacjonował oddział radziecki, który na wstępie rozbił dwóch moich towarzyszy. Dopiero rozmowa z ich dowódcą wyjaśniła wszystko, chociaż musieliśmy powoływać się na wysokie znamienność. Wśród tamtejszych kandydatów na partyzantów do naszego oddziału był jeden pochodzenia niemieckiego. Kiedyś pojechał do Niemców i zaproponował im utworzenie

oddziału policji do walki z partyzantami. Dostał 20 karabinów i amunicję, co oczywiście przekazał partyzantom radzieckim. Wkrótce potem pojechał dogmatem się broni maszynowej, ale Niemcy zorientowali się i uwieźli go. Zdołał jednak uciec ryzykując skok z II piętra.

— Jeżeli zaś chodzi o księdza to nie opierał się, załatwił swoje sprawy i pojechał z nami saniami. Podróż była z przygodami. Sanie wywróciły się na jakimś moście i ksiądz głową w dół wpadł do głębokiego na 3 metry kanału wypełnionego śniegiem, tak że wystawały mu tylko trzepoczące stopy. Wyciągnęliśmy go nie bez trudu.

— Po przysiędze w grudniu 1943 r. przeprowadziliśmy przez Bug ponad 140 ludzi. Część z nich żyje do dzisiaj. Jeden jest konsulem w Czechosłowacji, dwóch było zastępcami komendantów wojewódzkich MO, jedna jest lekarzem, inni oficerami w wojsku lub pracują na osadniczych gospodarstwach rolnych. Poważna część zginęła w walce.

— W burzliwym życiu partyzanta i działacza politycznego spotyka się różnych ludzi, którzy odgrywają jakąś rolę w toczących się wypadkach. Może o dwóch, trzech takich wypadkach.

— W pińskich błotach spotkałem się gdzieś w Woli Kuchackiej z Robertem Satanowskim, dowódcą oddziału partyzanckiego. „Jeszcze Polska nie zginęła”, o którym w zeszłym roku pisaliśmy. Prowadziłem z nim pertraktacje o wspólne przejście Bugu oraz przekazałem zaproszenie na zaprzysiężenie oddziału. We wrześniu złożył się do nas Aleksander Skotnicki ps. „Zemsta”, przed wojną docent Uniwersytetu Warszawskiego i członek PZP, który zaproponował nam „skok” na miasteczko Łohiszyn w pobliżu kanału Ogińskiego. Miał przepustki i hasła od różnych oddziałów partyzanckich polskich i radzieckich. Chciał, abyśmy dali pluton pod jego dowództwo. Po wahańach zgodziliśmy się, Skotnicki został dowódcą oddziału, ja komisarzem. Wśród naszych 30 ludzi była młoda, wyglądająca na 15 lat Rosjanka, córka oficera radzieckiego z Brześcia. Musiała pracować w bluzie niemieckiej, ale zaczęła penetrować nomieszczenia, poszukiwała dokumentów i gdy pozycja, że ziemia pali się jej pod nogami, uciekła do Kościuszkowców. Początkowo była tam kucharką, teraz miała niemal zabytkowy karabin ze stemplem. „Na zabawę idziemy czy co?” — ironizował się Skotnicki, ale wreszcie uleżał.

— Po przejściu kanału doszliśmy do linii kolejowej. Z obu stron szerokie pasy wyciętego lasu, co 400 m bunkry. Pod osłoną erkaemów 12 z nas przedarło się na drugą stronę, ale reszta utknęła i dołączyła po 3 dniach.

— W tym rejonie, we wsi Zakucie, spotkałem Czesława Klimę, B. Legionistę, z braku wykształcenia awansował przed wojną tylko do stopnia chorążego, chociaż swego czasu był komendantem sanacyjnego „Strzelca” na woj. łódzkiej i warszawskiej. Był osadnikiem na tym terenie — dostał przed wojną 42 dziesięciny (ok. 53 ha). Za działalność przeciw władzom radzieckim został aresztowany w 1940 r. — ale gdy Niemcy zdobyli Brześć został zwolniony. Jego syn wykopał dwa karabiny przechowane sprzed wojny i poszedł do partyzantki radzieckiej, starsza córka zachowała się w oficerze radzieckim, młodsza pracowała w wywiadzie radzieckim. On sam po wojnie był majorem MO, z-cą Kom. Woj. MO w Lublinie i Łodzi.

— No a jak skończyła się wyprawa na Łohiszyn?

— Gdy byliśmy w jednej z chałup weszli do środka polscy policjanci z bronią gotowa do strzału krzyknęli: ręce do góry! mimo że byli umiłowani na spotkanie z nami Skotnicki błyskawicznie wyciągnął zawieszkę z granatu i odpowiedział spokojnie:

(Dokończenie ze str. 1)

Należy więc spodziewać się także dalszej i ciągłej rozbudowy uczelni lubelskiej. Zawszeż nieco sprawę do problematyki związanej z budową Dzielnicy Uniwersyteckiej musimy stwierdzić, że od momentu rozpoczęcia jej realizacji upłynęło już 18 lat; na obszarze przeznaczonym początkowo dla jednej uczelni, rozbudowuje się dziś dwie i w konsekwencji rezerwy terenowe są już na wyczerpaniu. A przecież dalecy jesteśmy chyba od stwierdzenia, że obie uczelnie — UMCS i Wyższa Szkoła Rolnicza — zaspokoiły już w pełni swoje potrzeby inwestycyjne.

Uniwersytet ma obecnie około 5,5 tysiąca studentów, a do 1980 roku przewidywany jest wzrost do około 10 tysięcy. Wyższa Szkoła Rolnicza liczy obecnie 2,5 tysiąca studentów, w planie perspektywicznym przewiduje się około 5 tysięcy. A tymczasem obszar całej dzielnicy wynosi obecnie 52 ha.

Przykłady uniwersyteckich zagranicznych wskazują, że w wypadku koncentracji na jednym obszarze wszystkich funkcji uczelni, 1 hektar terenu zasiedlać powinno średnio 80 studentów. W warunkach polskich liczbę tę zwiększyć można do około 100 studentów. Wprowadzenie dalszych oszczędności doprowadza często nawet w okresie 10-15 lat do wielkich strat w skutkach niematerialnych adaptacji i rozbudowy zagęszczonej obiektów, nie mówiąc już o niewymierzalnych stratach kulturalnych. Przykładem mogą być już trudności związane z rozbudową katedr Fizyki i Chemii UMCS.

I co dalej z Dzielnicą Uniwersytecką?

Zakładając w 1944 roku nową uczelnię w Lublinie i ustalając jej pierwszy plan, byliśmy w stosunkach polskich pierwszymi, którzy rozumieli wagę zagadnienia budowy miasteczka uniwersyteckiego, koncentrującego wszystkie funkcje związane z nauką, dydaktyką, administracją, mieszkalnictwem, wypoczynkiem, a także rozrywką i sportem.

— Ale dzielnica, usytuowana w 1947 roku na skraju ówczesnej zabudowy miejskiej, dziś leży już w śródmieściu. Obszar początkowo wynosił 17, później 19 hektarów, a po włączeniu kolonii mieszkaniowej wzrósł do 52 hektarów. Opracowany szkieletowy pierwszy program określał charakter uniwersytetu i zakładał budowę obiektów uczelnianych jako instytucji. W planie urbanistycznym przyjęto zabudowę pawilonową. W ten sposób stworzono możliwość formowania układów elastycznych, dopuszczających rozbudowę poszczególnych obiektów. Dzielnicę wyizolowano od dróg komunikacyjnych miejskich.

Wskutek przeobrażeń, jakim uległ uniwersytet, a w szczególności wyodrębnienia Wyższej Szkoły Rolniczej, charakter uczelni zmienił się. Dawne założenia stały się nieaktualne. Zespół pracowników nauki opracował zatwierdzony w 1951 roku nowy program rozwoju obu zakładów naukowych, który to program w pewnym stopniu stał się podstawą do rewizji planu urbanistycznego. Na rewizji tej zaciążyły już inne tendencje panujące w ministerstwach Szkolnictwa Wyższego i Budownictwa. Plan urbanistyczny nie został zatwierdzony jako ścisły dokument do realizacji, tylko miał ustalać ogólne wytyczne kierunkowe, przy czym rozmieszczenie poszczególnych obiektów i ich programy oraz kubatury ulegały w realizacji częstym zmianom.

Zabudowania kolonii mieszkaniowej studentów oraz profesorów zgrupowano na zachód od ul. Sowińskiego. Zachowana została zasada centralnego placu uniwersyteckiego przed biblioteką i rektora-tem. Zlikwidowano projektowane połączenie bezkolizyjne z ruchem miejskim zabudowań uczelni i kolonii akademickiej. W miarę realizacji w latach 1952-1966 nastąpiło dalsze zagęszczenie obiektów, których programy budowlane stały wzrastają.

W wyniku poszukiwań bardziej ekonomicznych rozwiązań budowlanych wprowadzono tzw. system budownictwa uprzemysłowionego, operujący zestawem ciężkich prefabrykatów montowanych przy użyciu dźwigów. Równocześnie wskutek zarysowującego się już braku terenu nastąpiła zmiana skali zabudowań uczelnianych. Dar pawlakiet Zakładów Azotowych, tzw. budynek „Dużej Chemii” znajdujący się obecnie w budowie, „wyskoczył” z zabudowy 6-piętrowej. Dlatego też jeszcze w 1961 roku przy prowadzeniu rewizji kompozycji planistycznej istniejącej i projektowanej zabudowy. Celem tego opracowania było sprawdzenie i uzasadnienie możliwości włączenia dużych kubatur i wysokich obiektów do zabudowań Dzielnicy. Intencją opracowania była także myśl pewnego uporządkowania przestrzennego procesów inwestycyjnych.

Dając do przywrócenia prawidłowości układu komunikacyjnego Dzielnicy, zachwianego wskutek zmian wprowadzonych do projektu konkursowego, postanowiono przy prowadzeniu dalszej budowania Urbanistyczną likwidację w przyszłości ulicy Nowotki jako drogi jezdnej od ul. Skłodowskiej do ul. Sowińskiego. W ten sposób osiągnąć można by w przyszłości wyłączenie ruchu przelotowego z centrum Dzielnicy, która stałaby się jedynie dojazdem z dróg obojętnych — tj. ulic Akademickiej, Sowińskiego i Alei PKWN. Naturalnie, że

bezkolizyjna komunikacja pieszka zespołu kolonii studenckiej a placem i zabudowaniami uczelnianymi musiałaby odbywać się ponad ul. Sowińskiego.

Opracowanie to jednak czeka na podbudowę programową. Ale trzeba zdawać sobie sprawę, że program nowych potrzeb uczelni może nawet zrzuć na przylegający już teren w planach urbanistycznych. Chyba więc w trzecim dziesięcioleciu budowy uniwersytetu nadziedzi czas na dokonanie generalnej rewizji dawnych planów i stworzenie perspektywicznego programu budowy obu uczelni znajdujących się na terenie Dzielnicy.

Dotychczasowe doświadczenia krajowe i zagraniczne przemawiają za budową zakładów naukowych, w których liczba studentów nie powinna przekraczać 6-8 tysięcy. Opierając się na wskaźniku 100 studentów na 1 hektar powierzchni brutto, prawidłowość rozwoju dzielnicy zapewnić mógłby obszar wynoszący około 100 hektarów. Jednakże sprawy rezerw terenowych nie możemy tak dalece upraszczać. Wielkość terenu przeznaczanego pod inwestycje nie jest elementem sztywnym i zależy w znacznym stopniu od przyjętego programu rozwoju uczelni, zasad kształtowania przestrzennego, sposobu zabudowy oraz szeregu innych czynników wynikających np. z roli uczelni w środowisku, a także i od właściwości fizycznych terenu przeznaczanego pod budowę. A więc istnieje tu

niezależność Program obiektów wielofunkcyjnych nie może być przypadkowy, nie może wynikać tylko z jednostkowych rozpatrzonych poszczególnych katedr czy nawet wydziałów, ale wnikliwe rozpatrzenie planów tych katedr na tle ogólnych potrzeb uczelni.

Czynnikiem warunkującym w znacznej mierze osiągnięcie efektów ekonomicznych i przestrzennych jest między innymi zagwarantowanie możliwości elastycznego rozwijania układów oraz stosowanie powtarzalnych rozwiązań konstrukcyjnych. Osiągnąć to można przez wprowadzenie prefabrykowanych układów szkieletowych oraz typizację i unifikację elementów. A to właśnie wymaga także włączenia projektantów do prac programowych rozbudowy uczelni, wykonywanych przez wieloletni zespół wyłoniony z naukowców.

Zarówno pierwszy plan urbanistyczny jak i wszystkie następnne przewidywały utworzenie głównego zespołu architektonicznego — centralnego placu z przylegającymi do niego głównymi budynkami: rektora-tem, biblioteką, audytorium. Część ścian tego placu tworzą już dziś istniejące lub znajdujące się w budowie obiekty — Fizyki, Chemii, Humanistyki, a także Biblioteka. Na placu tym ustawiono już nawet pomnik. W zespole budynków obudowujących plac w przyszłości powinien powstać jeszcze wysokościowy obiekt rektora-tu. Tu kształtuje się już dziś „Forum” — centrum życia społeczno-kulturalnego uczelni. Główny plac jest biletem wizyjowym uniwersytetu i ta część Dzielnicy jest szczególnie wrażliwa na jakiegokolwiek przypadkowe zakłócenia w za-



współzależność programu z planami przestrzennymi, wyznaczającymi zapotrzebowanie terenu pod przyszłe inwestycje. Jedyny nie zabudowany jeszcze obszar znaleźć możemy tylko na zachód od obecnych granic Dzielnicy.

Oczywiście wylania się wiele pytań. Czy wszystkie funkcje UMCS i WSR mogą i powinny być lokalizowane w jednym zespole uczelnianym? Czy pewne obiekty nawet już istniejące w związku z ich przyszłą rozbudową nie powinny znaleźć się na obszarach położonych poza miastem? Dotyczy to w szczególności katedr i zakładów uciążliwych dla otoczenia. Czy nie należałoby dokonać jakiegoś generalnego obrachunku, uwzględniającego także analizę stanu obecnego i jego przyszłego wykorzystania na tle wciąż rosnących nowych potrzeb? Ważna jest tu opłacalność adaptacji obiektów oraz kosztów ich eksploatacji. Czy możliwe będzie w dalszej budowie obu uczelni ustalenie dla jednorodnych funkcji — jednorodnego modułu przestrzennego i konstrukcyjnego? To właśnie ma podstawowe znaczenie dla ekonomicznej budowy jak też i poprawnego kształtowania przestrzennego całości realizowanych zespołów. Moduł ten dotychczas ulegał ciągłej zmianie wskutek nowych norm oraz ustaleń programowych wprowadzanych doraźnie celem zaspokojenia potrzeb ostatniej chwili. W konsekwencji, nawet dla identycznych elementów, różnice powierzchni wynosiły nieraz do 100 proc.

Czy w tych warunkach można mówić o jednorodności kompozycji przestrzennej całej Dzielnicy?

Dotychczasowa praktyka wskazuje, że współpartnerem projektanta musi być w okresie budowy i projektowania inwestor oraz wykonawca. W zespole tym jednak praca powinna rozpocząć się już wcześniej, a mianowicie jeszcze w okresie kształtowania programu perspektywicznego budowy uczelni. Opracowanie programu nauwa najwięcej trudności ze względu na różnorodność funkcji oraz szczególne jego uzalenie na poziom nauki i techniki. Obiekty wyższej uczelni ze względu na zawarte w nich tematy są obiektami wielofunkcyjnymi. Powstają one z reguły na zamówienie jako obiekty niespowtarzalne. Analiza rozwiązań obiektów wielofunkcyjnych wykazuje jednak możliwość różnorodnego ich zestawienia i łączenia poszczególnych elementów czy urządzeń w grupy. To właśnie pozwala organizować przestrzeń bardziej ekono-

budowie. Aczkolwiek stojące tu budynki realizowane w różnym okresie według różnych programów, reprezentują różną architekturę, stanowią jednak zamkniętą całość. O ten zespół powinniśmy się troszczyć szczególnie, zabezpieczając go przed jakąkolwiek przypadkowością i załatwianiem tzw. „potrzeb chwili” przez nadbudowy, nie rozwiązujące w sposób racjonalny żadnych potrzeb.

W niedługim czasie Dzielnica Uniwersytecka może zostać obudowana osiedlami mieszkaniowymi. Jedynym kierunkiem ekspansji uczelni są wspomniane wyżej grunta na zachód od kolonii domów akademickich. Przyjmując ten obszar można by uzyskać poprawność całego wielkiego założenia miasteczka uniwersyteckiego, które zbudowałyby się w etapach w układzie pasmowym na południowo-wschodnich stokach — wzdłuż Alei PKWN. Dzielnica o powierzchni około 100 ha pozwoliłaby na wyeliminowanie kolizji ruchu zewnętrznego kołowego i ruchów wewnętrznych pieszych. Prawidłowość taka zapewniłaby także stworzenie spokojnych, bezpiecznych i zdrowotnych warunków życia wewnętrznego uczelni.

Uchonorowania tego postulatu należy oczekiwać zarówno od władz miasta, tak jak od obu uczelni należy spodziewać się śmiałego planu perspektywicznego, dającego możliwość nieskrępowanego rozwoju Uniwersytetu i Wyższej Szkoły Rolniczej w perspektywie co najmniej 20-30 lat.

Szukanie wszechstronnej oszczędności stało się dziś argumentem przy pomocy którego „kładzie” się każdą myśl sięgającą śmielej w przyszłość. Decydując o potrzebach rozbudowy szkolnictwa wyższego należałoby pamiętać także o stwierdzeniu, jakie padło w czasie seminarium Europejskiego Komitetu Gospodarczego ONZ, które odbyło się w Warszawie, że „oszczędność doraźnie często prowadzi na dłuższą metę do katastrofalnego trwonienia środków”.

Czesław Gawdzik

* Z. Kowalski — Z. dalejów budowy dzielnicy uniwersyteckiej. „Życie szkoły wyższej” nr 7-8 rok. XII. 1964. I nagroda w Ogólnopolskim Konkursie SAIP na Dzielnice Uniwersytecką w Lublinie uzyskał mgr inż. arch. Czesław Gawdzik, autor niniejszego artykułu. (Red.)

Ręką i głową

IRENEUSZ J. KAMIŃSKI

MLODY człowieku, powiadam, jeśli chcesz odkryć nową prawdę, nie troszcz się o jej praktyczne zastosowanie. Nie zapytuj siebie, w jaki sposób medycyna, handel czy przemysł z niej skorzysta, w przeciwnym razie nie odkryjesz. Chcesz rozwiązać problem, który uważasz za istotny, rozwiązuj go bez oglądania się na konsekwencje. Podchodzi do zagadnienia z jego najprostszą stroną. Nie pozwól, aby nakazy dziennikarzy, higienistów, inżynierów, farmaceutów lub lekarzy powstrzymały cię.

Przytoczone słowa francuskiego naukowca Charlesa Richeta na pewno wzbudziłyby sprzeciw pewnej części polskich dziennikarzy, oczekujących od młodej nauki, jaką jest prasoznawstwo, klucza do wielu problemów warsztatowych i ogólnie związanych z oddziaływaniem społecznym prasy. Nie mówię tego bezpodstawnie. Działający od 10 lat w Krakowie Ośrodek Badań Prasoznawczych RSW „Prasa” nie raz w swojej krótkiej biografii spotkał się z zarzutem oderwania prac naukowych od praktyki. Mówiąc o przeobrażeniu programu teoretycznego OBP, odwoływano się niejednokrotnie do doświadczeń amerykańskich, którymi kierował awerski w końcu praktycznym. Ze względów pragmatycznych środowisko dziennikarskie interesowało się bardziej takim modelem badań nad społecznymi kontaktami i przepływem informacji, jaki reprezentują instytucje, których cele określają słowa „public relations”. Co one znaczą?

„Public relations są to starannie planowane i świadome cele dążenia do wytworzenia wzajemnych stosunków, relacji między daną organizacją o społeczeństwem... — wyjaśnia w wydawczym zamieszczone w „Zeszytach Prasoznawczych” (nr 4/66) Sam Black, Anglik, członek egzekutywy Międzynarodowego Stowarzyszenia Public Relations z siedzibą w Brukseli.

Warto więc zapytać, czy pretensje i oczekiwania dziennikarzy są uzasadnione. Odpowiedź będzie twierdząca jeśli weźmiemy pod uwagę fakt, że instytucje w rodzaju Ośrodka Badań Prasoznawczych lub Ośrodka Badań Opinii Publicznej i Studiów Programowych Polskiego Radia istnieją od niedawna i dorobek ich, niewątpliwie poważny, w znacznym stopniu sprowadza się do prac z zakresu metodologii. Placówki te musiały w pierwszym rzędzie określić przedmiot badania i wypracować własne metody naukowego postępowania, prowadzące do wszechstronnej i rozwiniętej działalności, aby z kolei podjąć problematykę szczegółową warsztatu dziennikarskiego i innych zagadnień związanych z przepływem informacji. A tymczasem dynamiczny rozwój prasy i pozostałych środków ma-

sowego komunikowania oraz burzliwe przemiany społeczne stwarzały nowe i skomplikowane zadania. Kim jest czytelnik konkretnej gazety, czego oczekuje on od piśmi, jakie formy publicystyczne i w jakich środowiskach społecznych są najchętniej przyjmowane, jaka jest skuteczność redakcyjnego wysiłku — oto pytania, które towarzyszyły praktyce dziennikarskiej. Odpowiedzi na nie pozwoliłyby wyciągnąć wnioski kształtujące właściwy profil piśmi i metody pracy wewnątrzredakcyjnej. Do dziś na przykład odczuwa się potrzebę naukowego opracowania organizacji pracy sekretariatu redakcji, tej neuralgicznej komórki każdego wydawnictwa.

Postulując położenie głównego akcentu na badania użytkowe, niektórzy dziennikarze zapominają jednak o kardynalnej zasadzie, historycznie sprawdzonej, która głosi, że nauka posiada swoją autonomię, że właśnie teoria wyznacza perspektywę ludzkiego poznania. Nigdy przy tym nie można przewidzieć kiedy i jaka koncepcja teoretyczna znajdzie praktyczne zastosowanie. „Co by było, gdyby Galvani zamiast dotykania kończyn żab żelazem i miedzią, chciał skonstruować telefon? Soubelran, odkrywając tróchlorometan, który nazwał chloroformem, wcale nie starał się wynaleźć środka znieczulającego, podobnie jak Roentgen nie szukał sposobów ułatwienia zabiegów chirurgicznych” — pisze cytowany już Charles Richet.

Prasa jest trwałym faktem kulturowym i cywilizacyjnym. To truizm. O ile jednak takie dziedziny ludzkiej aktywności jak literatura, sztuka i muzyka od dawna już posiadają swoje teorie, to prasa — też twórczość — nie oczekiwała się jeszcze pełnego opracowania tej naddbudowy. Teoretyczne badania prasoznawcze nie cieszą się na domiar wszystkiego sympatią praktyków dziennikarstwa, uważane są często za zbędne. Zapomnijmy na chwilę o poprzedniej, generalnej argumentacji i zapytajmy raz jeszcze, ile w tym słuszności. Odpowiedź dostarcza m. in. niedawne seminarium w Kazimierzu, poświęcone problematyce reportażu. Brali w nim udział świetni publicyści, znani reporterzy, wygłoszono kilka referatów, w dyskusji padło wiele trafnych sformułowań. O ile wiem, to jednak żaden z uczestników nie określił istoty reportażu, jego definicji, nie wspomnieli o zasadniczych kryteriach tego gatunku dziennikarskiego. Można przecie powiedzieć, że dobry reporter nie musi teoretyzować, ponieważ jako twórca sam, poprzez praktykę, ustala niejako zasady reportażu. Słusznie. Ale redakcja konkretnego piśmi, która przystępuje do analizy jego zawartości, mającej na celu praktyczne efekty, związane z określeniem form skutecznego oddziaływania, musi stosować rozróżnienia typologiczne,

musi ustalić co to jest artykuł publicystyczny, reportaż, sprawozdanie. Jak dotychczas, wykonuje się to najczęściej na zasadzie intuicyjnej, wynikającej z doświadczenia. W rezultacie prowadzi to do relatywizmu, zmienności ocen i klasyfikacji. Sądzę, że jest to jeszcze jeden argument na korzyść badań teoretycznych.

Spór między praktykami a teoretykami ma w końcu charakter pozorny i z czasem dojdzie zapewne do pełnego uświadomienia tej prawdy. Polskie placówki prasoznawcze prowadzą zresztą działalność dwutorową: usługową i teoretyczną. Z całą stanowczością trzeba tu podkreślić, że pojęcia te zespalały się w jednym szerokim nurcie jakim jest prasoznawstwo.

Kwietniowa sesja poświęcona teorii i praktyce prasy, zorganizowana przez warszawski Ośrodek Dziennikarstwa SDP, pomimo licznych kontrowersji ujawnionych w dyskusji, które stały się podstawą powyższych refleksji, przekonuje o słuszności przedstawionego tu spojrzenia na sprawę. Dla pełniejszego uzasadnienia warto przeciwie krótko zrelacjonować wybrane akapity dwu referatów wygłoszonych w czasie tego spotkania przez pracowników krakowskiego Ośrodka Badań Prasoznawczych.

Redaktor Paweł Dubiel przedstawił metodę analizy zawartości prasy, podstawowy instrument badań.

Analiza zawartości jest metodą statystyczną, która porwała na uzyskanie opisu ilościowego treści danej gazety. Poznając cechy formalne i gatunkowe, autorskie i źródłowe, tematyczne itp. piśmi, stwierdzając wielkość w jakich występują, otrzymujemy w rezultacie obraz jakościowy. Dzięki temu „Dysponujemy... materiałem porównywalnym i cechami innych zjawisk leżących poza samą gazetą; możemy bowiem porównać gotowy wytwór z intencjami jego dysponentów, wydawców i redaktorów, z możliwymi i rzeczywistymi skutkami odbioru treści przez czytelników, z cechami strukturalnymi publiczności prasowej itp.”. Przydatność praktyczna analizy zawartości jest więc niewątpliwa. Przy okazji warto wspomnieć, że OBP opracowuje właśnie instrukcję, dzięki której redakcje będą mogły we własnym zakresie prowadzić analizę wydawanych piśmi.

Dr Franciszek Adamski zreferował badania dotyczące współczesnego polskiego czytelnika, który pod adresem prasy kieruje takie postulaty, że zrozumieliśmy, że interesujące każdą redakcję: „Aby prasa mogła pełnić swą rolę w sposób bardziej skuteczny i pełniej zaspokajać zapotrzebowanie odbiorcy, winna — zdaniem czytelników — zwiększyć rzetelność informacji, zwiększyć swą rolę w zakresie kontroli społecznej, zwiększyć ilość artykułów poświęconych wychowaniu, poradnictwu z wszystkich dziedzin życia, walce ze szkodnictwem i złem społecznym... zwiększyć dział rozrywek umysłowych, piśmi przystępnej i żywej, skrócić artykuły, zmniejszyć ilość jaskrawych sensacyjnych informacji, zmniejszyć ilość ogłoszeń i reklam”.

(Dokończenie ze str. 3)

„strzelając, pójdziemy razem do nieba”. Opuścili broń. W mieście oprócz Niemców były 2 sztaby węgierskie, planowałyśmy napad na basę po odejściu Węgrów. Teraz tłumaczyliśmy policjantom, że front się zbliża. Jeżeli w istocie tak jak mówią służby w policji dla dobra Polaków — to teraz niech dadzą tego dowody. Jeżeli służby Niemcom — to gdy zostaną tutaj, Czerwona Armia będzie sądziła ich jako zdrajców, w Polsce też trzeba będzie zdać rachunek. Zgodziliśmy się z nami twierdząc, że są po stronie Polaków. Ale potem okazało się, że zawiadomili Niemców. Jednak nasz oddział atakujący bazę był bardzo czujny i zdołał wycofać się na czas. Sam Klim przedarł się później do miasta, zastrzelił za zdradę komendanta policji polskiej.

Zrzutek partyzant, działacz

Albo takie niezwykle spotkanie. Kiedyś wpadła mi w rękę paczka listów do jakiegoś dziewczyny. Zakończony chłopak pisał nie tylko o miłości i nowym krawacie, ale i o tym, że został przeszkolony przez Niemców do walki z partyzantami. Jakiś czas później 150 km dalej zgłosił się młody człowiek z prośbą o przyjęcie do naszego oddziału. Przypomniały mi się owe listy i zarysowana w nich sylwetka nadawcy. Zaryzykowałem pytanie: na imię wam Jakub? Zgadzało się i to, i kilka innych spraw. Kazalem mu przynieść z domu broń, którą rzekomo miał schowaną. To było błędem — więcej nie pokazał się.

— To już było później, tuż przed wyzwoleniem, ale spotkał się także z ptk Janem Rzepeckim, szefem BIP Armii Krajowej?

— Stał się koło Janowa, gdy Stanisław Suproniuk doniósł, że spotkał jadącego furmanką człowieka, który podawał się za sędziego Polskiego Korpusu Powstańczego. Suproniuk zaproponował mu spotkanie koło gąwki z rzekomym dowódcą oddziału AK. Poadałem się za takiego. Rozmowa trwała 2,5 godziny. Ja mówilem — jako akowiec — że pewne rzeczy nie podobają mi się. Front zbliżał się, a nasi ludzie prześladowali pepperowców, wybuchają walki bratobójcze. On był nastawiony antyradziecko, ale dodawał, że w AK są takie grupy, które nawet gotowe są współdziałać z Niemcami przeciwko ZSRR, ale są także „antypolisudczykowski”, nastawione kompromisowo. Zresztą prawie to samo, co kilka lat po wojnie na rozprawie sądowej. Na drugie spotkanie pojechałem już z Borkowskim i Filsem. On mieszkał u nadleśniczego i mówił, że przyjechał tu na urlop — okazało się, że jego siostra miała w pobliżu majątek. Ale tym razem Rzepecki już zorientował się kim jesteśmy, napomykał nawet, że chce wstąpić do naszego oddziału.

Speszony wypili trzy szklanki spirytusu — mieliśmy wtedy kilka typowców litrów — no i dalej nie można było rozmawiać.

— Czy to prawda, że jeszcze nie tylko przed ukazaniem się dekretu o reformie rolnej, ale nawet przed postanowieniem PKWN przeprowadzić parcelację majątku Rolników do pow. bilgorajskim?

— Prawda. To nie był zbyt duży majątek. W czasie okupacji Niemcy dołączyli do niego wywłaszczono grunty chłopackie. Kiedyś przyjechał ze skargą chłop. Było to w połowie lipca, zbliżyła się zima. Pojechałem na zebranie chłopackie. Postanowiono jednomyślnie nie tylko zwrócić zabraną przez Niemców ziemię, ale uzupełnić chłopom działki do 5 ha, z tym, że zwrotu nie otrzymywał ten, kto już miał 5 ha. Sam majątek miał zatrzymać 30 h.

jako ośrodek przyszłej szkoły rolniczej i gdzie jednocześnie miały znajdować się wspólne maszyny i narzędzia, wypożyczane potem chłopom do pracy. MRN w Bilgoraju, która już istniała, miała zapewnić paliwo. Nie pamiętam, ilu chłopów na tym skorzystało, ale nigdy nie doszły mnie słuchy, aby ktoś protestował, aby nie wykonano ówczesnej uchwały. Później, ale też przed ukazaniem się dekretu, podobna parcelację przeprowadzono we wsłoko Zaklikowa, robili to „Hrabia” (Skrzypek) i „Bolszewik” (nazwiska nie pamiętam).

— Braliście wiele razy udział w odbieraniu zrzutów radzieckich?

Pełnomocnikiem KC PPR do tych spraw był H. Chelchowski, w skład grupy kierującej wchodził Kasman, Wyrwas i pułkownik radziecki ps. Jan z Brodą. Ja zastępowałem Wyrwasę. Raz tylko zdarzyło się, że gdy usłyszyliśmy śmigłki samolotów i rozpaliliśmy się, spadły bomby.

Odbiór broni wymagał szybkiego transportu. Broń była przecie pokryta grubą warstwą towetu i nie nadawała się do natychmiastowego użytku, a Niemcy zaraz organizowali obławy i trzeba było szybko przenosić się.

— Może na zakończenie jakieś niezwykłe wydarzenie?

— Kiedyś oddział brygady wypłoszył Niemców z jakiegoś wsi. Jedną z partyzantów nalożył czapkę gestapowską i sznurzył zandaram niemieckiego na mundur polski. Borkowski stał przy furcie i zaśmiejąc się nie zauważył, że przed jego nosem niemal defiluje oddział niemiecki. Hitlerowcy dopiero po chwili zaczęli strzelać do przebranego partyzanta nie zwracając uwagi na Borkowskiego. Ale obaj zdołali uciec.

Rozmawiał: Jod

Kpina, ironia i absurd jako atuty polemiczne

BOHDAN DZIEMIDOK

FILOZOFOWIE nie tylko zdawali sobie sprawę z ogromnych możliwości stosowania różnych form komizmu w polemice, lecz umiejętnie posługiwali się nimi jako środkami argumentacji. Klasykiem w tej dziedzinie był niewątpliwie Sokrates, który prawie z reguły ośmieszał swych polemistów.

Sokrates pozornie zgadzając się z poglądami oponenta wyprowadzał z nich, przy aprobacie adwersarza, konsekwencje, które były wewnętrznie sprzeczne, niedorzeczne, przeczyły tezom wyjściowym, nie dawały się pogodzić z logiką lub zdrowym rozsądkiem, albo też z innymi względami były nie do przyjęcia dla oponenta. Równocześnie jednak skromnie dziękował rozmówcy za pouczenie, wyrażał podziw dla jego mądrości i tylko w momencie, gdy udało mu się skompromitować obalona poglądy, wskazywał jak bardzo jego pochwały odbiegają od rzeczywistości wartości też przeciwnika, wyrażał zdziwienie i udawał, że nie rozumie jak to się stało.

Zupełnie świadomie i skutecznie posługiwał się kpina w swych słownych polemikach z jezuitami, utrwalonych w „Prowincjałkach”, Blaise Pascal. (...)

Umiejętnie posługiwali się tą bronią również Wolter. Kapitalnym przykładem kompromitowania tezy filozoficznej może być jego „Kandyd”. Utwór ten ośmiesza całkowicie przekonania teleologów, że wszystko

dzieje się najlepiej w tym najlepszym ze światów. Metoda obrona przez Woltera jest dość prosta. Co pewien czas powtarza on kompromitowaną tezę ustami Panglosa i za chwilę kopfrontuje ją z rzeczywistością, w której panują tyrania i fanatyzm, okrucieństwo i niesprawiedliwość, nędza i choroby oraz inne żywiołowe klęski, wobec których ludzie są bezbronni i bezradni.

Niejednokrotnie w swych licznych polemikach filozoficznych i politycznych posługiwali się umiejętnie kpina, ironią i dowcipem Marks i Engels. Już sam tytuł książki K. Marksa „Nędza filozofii”, która była polemiką z pracą Proudhona „Filozofia nędzy”, jest zrezygnym i złośliwym dowcipem, skonstruowanym trochę na zasadzie kalamburu. Lenin także korzystał w swych sporach i dyskusjach z kpiny, ironii i szyderstwa (por. np. Materializm i empiriokrytycyzm”).

W naszych czasach świetnie opanował sztukę ośmieszania poglądów, argumentów, postaw filozoficznych i obyczajowych Bertrand Russell (np. „Szkice sceptyczne”). Nie ustępuje mu jednak na pewno w tym względzie Leszek Kołakowski, o czym świadczą jego chętnie cytowane polemiki z ks. Kłusakiem.

Z pisarzy XX wieku, którzy odnosili również sukcesy w esesistycznej i publicystycznej, po mistrzowsku władał kpina i dowcipem Bernard Shaw. Jego polskim odpowiednikiem był przed wojną Tadeusz Boy-Zeleński. Potrafił on skutecznie i błyskotliwie wykiwać swych polemistów, zarówno w publicystyce obyczajowej jak też w dyskusjach naukowych („Obrachunki freudowskie”).

Fakty te nie mogły oczywiście nie zostać dostrzeżone przez teoretyków teorii argumentacji. Bolesław Filonow Ch. Perelman, jeden z najsłynniejszych twórców tej teorii, oraz Tadeusz Puzoszkowski, autor popularnej i interesującej książki „Umiejętność przekonania w dyskusji”, są w tej sprawie jednomyślni.

„Ośmieszanie jest potężną bronią w argumentacji — pisze Perelman. — Powiedzieć o jakimś autrze, że jego opinie są nie do przyjęcia, ponieważ konsekwencje przyjęcia tych opinii byłyby śmieszne, jest jedną z najskuteczniejszych obietek, jaką można przedstawić w argumentacji”. Znany krytyk literacki Włodzisław Maciąg wtrąca tu Perelmanowi, zauważając trafnie, że w pewnych środowiskach inteligentek „dowcip jest na ogół wyżej ceniony niż racja. Dowcip jest silniejszy. Nie mieć racji to rzecz zwykła, natomiast być ośmieszonym to klęska, z którą nie można się pogodzić. W rezultacie dowcip jest zawsze trochę bezkarny, ponieważ jest silny swym urokiem, wszyscy mu ulegamy” (W. Maciąg „Opinie i wroźby” s. 206).

Spróbujmy jednak w sposób systematyczny zastanowić się, jakie są możliwości zastosowania żartu, dowcipu, ironii czy kpiny w dyskusji.

Formy komizmu w dyskusji mogą występować bądź w roli argumentu mniej lub bardziej rzeczowego, bądź też w roli chwytu polemicznego, nie będącego argumentem rzeczowym, przy czym chwyt ten nie zawsze jest uczciwy. Granicę między tymi dwoma funkcjami komizmu w polemice przeprowadzić niełatwo, tym bardziej, że czasami jakaś wypowiedź ośmieszająca jest równocześnie w części argumentem rzeczowym, częściowo zaś chwyttem polemicznym.

Możliwość wykorzystania komizmu w polemice są jednak pod pewnym względem ograniczone, ponieważ żaden ze środków komicznych nie może być argumentem, uzasadniającym bezpośrednio słuszność jakiejś pozytywnej tezy. Służą one wyłącznie do obalenia i kompromitowania tezy, teorii, postaw i argumentów przeciwnika i tylko w tym przypadku, gdy między naszą tezą a tezą przeciwnika zachodzi stosunek sprzeczności. Obalając tezę przeciwnika automatycznie uzasadniamy wówczas prawdziwość naszej tezy.

Polemika ustna i polemika piśmienna posiadają oczywiście swoją specyfikę, która uwidacznia się również w rozważanej tu kwestii. Polemika piśmienna jest z reguły bardziej gruntowna, precyzyjna; pozwala bowiem odpowiednio dobrać i ewentualnie zaadaptować sformułowania przeciwnika oraz precyzyjnie wyważyć każde słowo kłepące lub froniczne komentarza, kunsztownie skonstruować dowcipną replikę,

karykaturę jego poglądów lub parodię jego sposobu argumentowania czy wyrażania swoich myśli. Polemika piśmienna nie dysponuje jednak w zasadzie metodami ośmieszania, które w polemice ustnej, nawet w osłabionej postaci, dadzą się zastosować. Dyskusja ustna bowiem, dzięki kontekstowi sytuacyjnemu, możliwością posługiwania się gestem, intonacją, mimiką i wykorzystaniem efektu bezpośredniej i natychmiastowej riposty oraz ze względu na możliwość nieuchwytnego zmieniania tematu itd. posiada chyba pewne dodatkowe szanse.

Próbę uporządkowanego przedstawienia ważniejszych sposobów wykorzystania komizmu i szyderstwa w polemice rozpocznijmy od omówienia tych metod, które występują zarówno w piśmnych jak i ustnych polemikach.

Spójrzmy jak Krzysztof Teodor Toeplitz polemizuje z tezą głoszącą, że instytucje egzaminów wstępnych na uczelnie przetrwały. Na wstępie przypomina on doniesienia prasy codziennej o znacznym obniżeniu się poziomu wiedzy kandydatów na wyższe uczelnie, którzy ujawniali niekiedy niemożliwość nawet najbardziej elementarnych faktów i danych. Dalej zaś pisze tak: „...pełną solidarnością przagniemy zwrócić uwagę na artykuł Andrzeja Święcickiego „Nowej Kulturze” zatytułowany „Kryzys egzaminów”. Jest to bowiem oczywiste, że skoro poziom wiedzy kandydatów obniżył się, winne są temu egzaminy, które tak smutny fakt ujawniają, przeżywając tym samym dotkliwy kryzys”.

Jest to pierwszy atak na obalona tezę i zastosowaniem ironii, w której posrebną deklaracyjną aprobatą jest niezgodna z treścią wypowiedzi, będącej rozumowaniem absurdalnym. Można nie bez racji zauważyć, że K.T.T. w zasadzie bezpośrednio ośmiesza nie tezę przeciwnika, lecz rozumowanie niedorzeczne, które sam skonstruował i przypisuje mu. Ale Toeplitz powołuje się na wstępie na doniesienia prasy, użył obaloną wypowiedź w odpowiedzi

REALIZACJA „Ryszarda II” na scenie lubelskiej jest niewątpliwie wydarzeniem teatralnym w skali ogólnopolskiej, bo w tejże skali jest to dopiero czwarta premiera sztuki od roku 1871, kiedy odbyła się pierwsza, krakowska, którą uświetnił imiona Bolesława Ładczewskiego, Feliksa Bendy i Antoniny Hoffman.

Dla Lublina wystawienie monumentalnej tragedii szekspirowskiej ma szczególnie wielką wagę w momencie, gdy latami ustalona dobrą reputację Teatru im. J. Osterwy nadweryżła nieco kilkumiesięczna błędna polityka repertuarowa. „Ryszard II” stał się w tym sezonie półrocznym, a jakże niezbędnym, problemem poziomu zespołu ukształtowanego wiosną zeszłego roku. Niezaprzeczalny sukces spektaklu nie tylko utwierdził aktorów w poczuciu swej wartości i przydatności, lecz napłynął również otuchą licznym przyjacielom lubelskiego teatru.

Przyznam się, iż pomysł wystawienia u nas „Ryszarda II” nie budził wśród kibiców teatralnych wielkiego entuzjazmu. Zdawało się, że skoro Szekspir, to raczej „Sen nocy letniej”, bo publiczność... bo obsada... A jeśli już kroniki, to dlaczego nie „Ryszard III”? Tym bardziej, że przyrzekano Woszczerowicza...

Trzeba było lubelskiego przedstawienia i bliższego w związku z tym poznania kronik, by przekonać się, iż wybór młodego reżysera, Jerzego Wróblewskiego, był trafny. O liście „Tragedia Króla Ryszarda II” jest dziełem lepszym, dojrzałym od powstałego trzy lata wcześniej „Króla Ryszarda III”. Zresztą może mniejsza tu o daty, gdyż i później żaden z królewskich dramatów Szekspira nie wznosił się na szczyt osiągnięty w „Ryszardzie II”. I żaden nie wydaje mi się dzisiaj tak aktualny, jak ta tragedia utraty władzy.

Kilka lat temu ogłosił Jan Kott, jak wiadomo, swoje słynne dziś w kraju i za granicą „Szkice o Szeks-

pirze”. W nich pierwszy esej, zatytułowany „Królowie”, jest, rzecz można, wariacją na temat Szekspirowych kronik. Znajdujemy tam wstępnie długi spis Edwardów, Henryków, Ryszardów (oraz ich zauszników) zamordowanych skrytobójczo lub straconych oficjalnie na rozkaz tego lub innego króla. Jest rzecz jasna, iż spis ten, będący swego rodzaju aneksem do szekspirowskich kronik, nie ma na celu unacznienia dzisiejszemu widzowi polskiemu, jacy to byli ci niedyślejsi królowie angielscy, bo nie o zdyskredytowanie monarchii dziś przecie chodzi. Esej Kotta jest wyraźnie obrachunkowy. Współczesny widz — mówi Kott — od-

I Kott zaczyna „od działania Wielkiego Mechanizmu, tak jak go ukazywał Szekspir w swoim teatrze”. W dalszych „Szkicach o Szeks-pirze” wprowadza na orbitę swych rozważań także inne tragedie szekspirowskie, w „Królach” atoli opiera się głównie na dwóch „Ryszardach” — przede wszystkim na „Ryszardzie III”, który prezentuje nader wymowne spleźnienie planowych zbrodni mających na celu osiągnięcie i utrzymanie władzy.

Z tego punktu widzenia „Ryszard II” był niewątpliwie obok „Makbeta” najbardziej aktualną tragedią Szekspira po niedawnym przeżytych naszych doświadczeniach.

czynów i eo ipso lepszym czy gorszym losom bohatera. W „Makbecie” występuje wyraźnie ścisły związek pomiędzy zbrodnią i karą dokonującą się wewnątrz życia człowieka, w „Ryszardzie II” zachodzi ścisły związek pomiędzy nagannym postępowaniem króla i jego detronizacją i teraz proszę zważyć na zestawienie: z jednej strony mamy złą wolę Ryszarda, podsyconą przez złą wolę zauszników, mamy króla bez autorytetu, rujnącego naród hulankami, odnajdującego kraj w dzierżawę, tchórzliwie inspirowanego zabójstwem własnego stryja (protektora z okresu niepełnoletnia), wreszcie króla nie-

na pierwszym miejscu słowo szekspirowskie, przemysłowe, odczuje i wielce przez aktora świadomego wielkości zadania. Od strony wzrokowej inscenizacja uderza pięknem, na którym rozgrywa się konflikt namiętliwego ludzkiego, uzyskującej właściwą, mroczną aurę w tych draperiach, gdzie w sposób aluzyjno figuralny zaznaczono miejsce akcji, zmieniane według jej potrzeby fantazją widza. Daje to w konsekwencji nieomal klasyczną jedność miejsca. A zwarty tok i rozwój wydarzeń zawładnąca się zapewne też opracowaniem tekstu przez Krystynę Berwińską — znanego teatrologa, mającą w dorobku m. in. przekłady szekspirowskie.

Pochwała reżyserii i scenografii nie byłaby pełna, gdyby się nie zwróciło uwagi na wspaniałe kostiumy, narzeczcie artystycznie malowane, a nie tworząca MHD. I jeszcze na coś: na wybitnie plastyczny układ sytuacji.

Co do aktorów, to artystycznym triumfem spektaklu stał się Andrzej Gazdeczka w roli zdetronizowanego króla. Jest zamierzonym kabotysem w słynnej scenie powrotu z wojny, w sztucznie patetycznej inwokacji „Droga młodo...”, jest głęboko przejmujący w czasie abdykacji i w subtelnie refleksyjnej scenie więziennej, której ironii ewolucji taneczno-imitacyjnej nadają poetycki charakter.

Henryka Bolingbroke’a widziałam w dwóch wersjach. Marian Droszdowski gra od razu dojrzałego kandydata na króla — męta stanu, Krystof Różycki wzrusza młodzieńszym zapałem jako obrońca swych praw do zagrabionych włości, jest on bardziej męski i świadom korzyści państwa dopiero po powrocie z wygnania. Obejrzę się na przyjęcia, bo nie zaciemnia Szekspirowskiego związku przyczyn i skutków.

Szlachetnie wypadł w patriotycznej przestrzódce przedśmiernej Gaunia Maciej Idziński w roli Biskupa Carlisle’a; bardzo wyróżniają się aktynego intryganta, mistrza od przewrotów pałacowych, hrabiego Northumblanda, stworzył Leopold Matuszyczak, a kontrastowo niedoczekanego, nieporadnego legitymisty, księcia Yorku — Włodzimierz Własniowski, Wiesława Grochowska (żona króla) miała bardzo piękny moment w pożegnaniu z Ryszardem; godnie zaprezentowały się w krótkich epizodach: Maria Szczechówna (wdowa po zamordowanym księciu Gloucester) i Elżbieta Święcicka (Księżna Yorku). Scena ogrodniczą, jedyne intermezzo pogodniejsze w tej tragedii, niestety nie zawiera doświadczenia, który by odpowiadał dyspozycjom Witolda Lisowskiego i Stanisława Stojki. Zbigniew Szejman, którego Artura z „Tanga” zachowaliśmy we wdzięcznej pamięci, dowiódł jeszcze raz, że można się wyróżnić i w niewielkich epizodach (skłócony z Herefordem Norfolk i zabójca Ryszarda Sir Pierce Eston). Ludwik Paczyński grał niewdzięczną rolę księcia Aumerle’a, któremu na skutek niezbędnego skrócenia jednej sceny odebrano właściwie charakter.

Spośród tłumy dworzan wyróżnili się poza tym: Tadeusz Zadora, Witold Zarychta, Tytus Wilski, Zygmunt Pok, Jerzy Felczyński, Jerzy Smyk (jako lord Marszałek), Roman Kruczkowski oraz dworci: Ewa Ulasiańska i Simona Wloch.

Przekład o nieprzemijających wartościach — Stanisława Koźmiana. Muzykę nowoczesną, a zarazem organiczną wiążącą się ze stylem spektaklu, skomponował dyrygent Filharmonii Lubelskiej Adam Nataneł.

Pod dobrymi auspicjami

MARIA BEHCZYC-RUDNICKA

najduje w tragedii szekspirowskiej własną współczesność. Dotyczy to przede wszystkim kronik historycznych.

Otóż Jan Kott konstruuje efektywną teorię: „coraz bardziej — powiada — ponad indywidualne rysy królów i uzurpatorów wyłania się z kronik dramatycznych Szekspira obraz samej historii. Obraz Wielkiego Mechanizmu. Każdy z kolejnych rozdziałów, każdy z wielkich szekspirowskich aktów jest tylko powtórzeniem... groźnego dramatu”.

Jednakże już choćby po sześciu latach od chwili ukazania się I wydania „Szkiców o Szeks-pirze” (bo dać w r. 1961) „Ryszard III” zachowuje dla nas raczej wartość pokazu zubożonych praktyk stosowanych w pewnych koniunkturach historycznych, kiedy powstają warunki sprzyjające tym praktykom, co jak pożywka dla bakterii. Tymczasem teoria Wielkiego Mechanizmu sugeruje nam myśl, jakoby WŁADZA implikowała nieuchronnie owe niecie praktyki, jakoby były one jej złem immanentnym. Czytelnik „Szkiców” naszego znakomitego krytyka, gdyby chciał przybliżyć się do Szekspira idąc za takimi drogowskazami, musiałby zapomnieć o wszystkich zdobyciach kultury, bo schemat Wielkiego Mechanizmu przewiduje same straty.

Trudno też sobie wyobrazić, by pisząc za panowania królowej Elżbiety, w tym angielskim złotym wieku literatury i sztuki, w czasie renesansowego rozkwitu kultury, kiedy pod wpływem sukcesów materialnych Anglii jej oświecone warstwy socjalne rosły w dumę i powstawało najprawdopodobniej „zamówienie społeczne” na monumentalne udratmowanie dzieł królestwa — trudno, myślę, przypuszczać, by Szekspir, z jego, jak wiadomo, raczej arystokratyczną postawą, pisał swe kroniki jedynie w zamiarze ukazania pasma zbrodni królewskich, jakie się tam przewija.

Wydaje się nam, iż ani fatum, ani jakiegokolwiek stałe siły „mechaniczne” przekształcające działanie woli człowieka, nie wpływają na losy szekspirowskich postaci. Tak jak potem w „Makbecie”, tak i w „Ryszardzie II”, do którego wreszcie bliżej podchodzimy — ukazuje William Szekspir przeżywanie związku przyczynowego pomiędzy czynami postaci a skutkami tych

zdecydowanego w krytycznych momentach; z drugiej strony — widzi jego kuzyna Henryka Bolingbroke’a, księcia Hereford, który już w równie młodym wieku (około trzydziestki) zna się na ludziach, odczuwa się ludźmi aktywnymi, postępuje z rozmysłem, nie ulegając namiętliwościom. Pierwszy traci koronę, drugi ją zyskuje na skutek rozumnego działania.

Ukazywanie takiego związku przyczynowego jest jednym z zasadniczych walorów tego dzieła, walorem aktualnym po wsze czasy i wychowawczym dla każdego człowieka, niezależnie od jego pozycji społecznej.

Drugim walorem „Ryszarda II”, również nieprzemijającym i uniwersalnym, jest uczulenie społeczeństwa na psychiczne cierpienie człowieka pozabawionego autorytetu, jaki mu dawała „władza”. Uaktualniająca w myśli treści „Tragedii Króla Ryszarda II” można wysnuć z nich naukę, że nie powinno się „przywłaszczać” sobie autorytetu związanego ze stanowiskiem. Wówczas odejście będzie mniej bolesne. Razem z Szekspirem współczujemy Ryszardowi w końcowych momentach jego życia, ale na dzisiaj chcielibyśmy dla siebie więcej stoicyzmu i gotowości niesienia pożytku społeczeństwu w zmienionych warunkach.

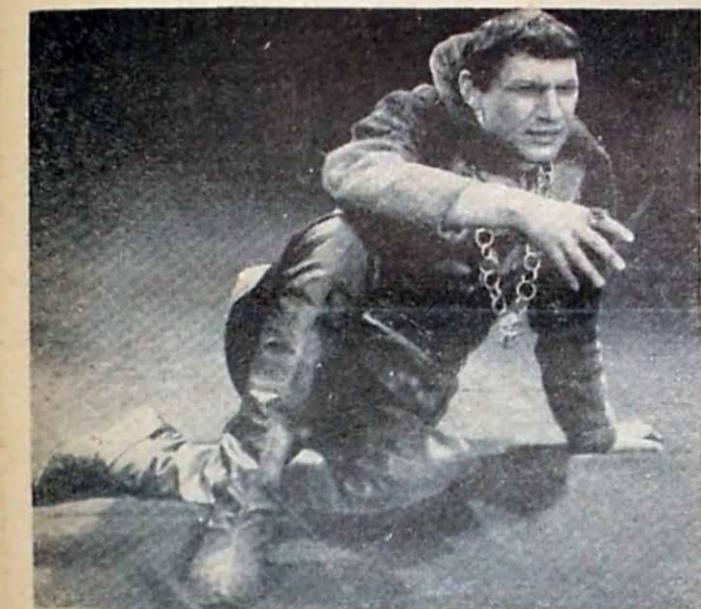
Przedstawienie „Ryszarda II” w reżyserii Jerzego Wróblewskiego jest mało powiedziane — dobre, jest wybitne, znowu zaznaczam — w skali ogólnopolskiej. Mam nadzieję, iż wielu widzów wyciągnie z niego moralne i intelektualne korzyści przede wszystkim dlatego, że reżyser i współpracujący z nim scenograf Janusz Warpechowski opracowali koncepcję audiowizualną taką, która stawia

konsekwencji, trafne porównanie z czynnością niedorzeczną, zastosowanie tego samego sposobu rozumowania w innej dziedzinie, w której jego nonsensowność ujawni się wyraziście, parodiowanie, karykaturowanie itd. itd.

W dyskusjach pisemnych i ustnych stosuje się też chwyt polemiczny, polegający na odwracaniu uwagi od istoty sporu i koncentrowaniu jej na sprawach marginesowych, w których łatwiej odnieść zwycięstwo, ośmieszyć oponenta w dyskusji. Może to być np. nieznaczące przesunięcie punktu ciężkości z trudnej do obalenia tezy przeciwnika na niektóre jego niezbyt fortunne i przemysłane argumenty, które łatwo ośmieszyć, sugerując równocześnie, że się skompromitowało samą tezę. Chwył ten o wiele łatwiej zastosować w sporze słownym niż w dyskusji pisemnej, w której dużo trudniej odwrócić, uspić krytycyzm i uwagę czytelnika.

Zamiast obalać i ośmieszać poglądy lub argumenty, stosowaną jest też niekiedy praktyka ośmieszania samego polemisty. Pracownicy teorii ewolucji Darwina niejednokrotnie uciekali się do środków tego typu, wyrażając przypuszczenie, że być może Darwin częściowo ma rację, bo oni są jednakże uwierzyli, że on sam i zwolennicy jego teorii wiodą się od małpy, nie powinno się jednak tego faktu zbyt głośnie generalizować. Innym przykładem takiej snyderzo-dowcipnej wycieczki osobistej może być np. wypowiedź Adolfa Nowaczewskiego o prof. Chmielewskim: „Zdarza się wypadki, że poeta ślepy wypisuje sonet wysoce kolorystyczny, że giętki muzyk usłyszy dokładnie muzykę sfer, ale tylko w Polsce możliwe jest, żeby: „stylizyk” napisał... prof. Chmielewski, cierpiący na słowiacznię języka”. (...)

Oczywiście, ten krótki szkic nie pretenduje do wyczerpującego omówienia interesującej problematyki, lecz ją tylko sygnalizuje. Nie zawiera on systematycznego omówienia różnych technik ośmieszania, wskazuje natomiast na wybrane funkcje ośmieszania w dyskusji.



Andrzej Gazdeczka w roli Ryszarda II

Fot. W. Parys

kontekście czasowym i społecznym i uczynił ją tym samym niejako wnioskami z opisywanej przez prasę sytuacji, która powinna być przez Święcickiego dostrzegana.

Toeplitz nie porzeka jednak na tym i ponawia atak z drugiej strony: „Autor artykułu za przykładem wielu uczelni zachodnich namawia, aby egzaminy zastąpić badaniami psychometrycznymi, wskazującymi na uzdolnienie kandydata. Dobyło to tę oczywistą korzyść, że można by stwierdzić, czy kandydat, który nie wie nad jaką rzeką leży Warszawa, jest potencjalnie w stanie opanować tę wiadomość”. Znowu wypowiedź ironiczna połączona z doprowadzeniem do absurdu sugestii obalanej. (...)

W swym esej „Spowiedź z grzechu zawiści” Leszek Kołakowski ośmiesza koncepcje etyki absolutystycznej, kazuistycznej i wszechwładczą, która stara się wziąć pod uwagę i jednoznacznie rozstrzygnąć wszystkie możliwe sytuacje moralne, w jakich może znaleźć się człowiek, a nawet poszczególne warianty tych sytuacji, by precyzyjnie wymierzyć dla każdego przypadku stopień odpowiedzialności i winy.

Autor początkowo przytacza bez komentarza od powiednio dobrane fragmenty „Teologii moralnej” ks. Antoniego Borowskiego, potem zaś ustosunkowuje się do nich: „Czytam to sobie i właśnie z zawiścią myślę: żebym to ja mógł tak wszystko wiedzieć. Mó! Boże! Wiedzialbym, że lepiej podać drabnie słodziejcio (współdziałanie pośrednie dalekie) niż ja podtrzymywa (współdziałanie pośrednie bliskie); wiedzialbym, że obmawiając szkieletobowia rodzinie, powinienem traktować ją jako jednolite moralnie, nie zaś myśleć o każdym członku rodziny z osobna, wtedy bowiem sześciokrotnie spada mi liczba grzechów. Wiedzialbym także, że skoro już jednego człowieka nienawidzę, to mogę nienawidzić iu chee, bo grzech się nie powiększy; że korzystnie jest odwracać burdel od czasu do czasu (okazja przewrót), niż mieć w domu pismo antyreligijne (okazja ciągła). Mógłbym bez obawy cieszyć się ze sposobu zrzeczenia w jaki ktoś inny popenił grzech lubieżności, byleby ten sposób nie sprzyjał się naturalnemu prawu. Wiedzialbym, kiedy mi wolno, a kiedy nie wolno żyć sobie śmierci własnego syna. Jednym słowem — wiedzialbym wszystko, co do życia potrzebne”.

Kołakowskiemu udało się ośmieszyć tak ponownie etykę przez skompromitowanie jej zarówno w intelektualnej, jak też wiatnie w etycznej płaszczyźnie. Samo wybranie i skoncentrowanie niektórych sformułowań ks. Borowskiego wywołuje wrażenie niedorzeczności tej koncepcji. Autor nie rozumie, że jednak na tym, wykazuje bowiem możliwość zrzeczenia i kazuistycznego wykorzystywania tak pomyślanej etyki dla celów niemoralnych.

W teologii moralnej wymierza się grzechy w sposób, który w przybliżeniu oddaje

formuła: „tak źle, a tak jeszcze gorzej”, to grzech mniejszy, a to grzech większy; takie stawianie sprawy pozwala jednak Kołakowskiemu zastosować interpretację odwrótną, „tak źle, a tak lepiej”. Bardzo sugestywnie i przekonująco pokazuje on, że dobra znajomość teologii, połączona ze zreżną interpretacją ocenianych czynków, pozwala wyrządzać zło i unikać odpowiedzialności, lub osiągać ten sam skutek przy mniejszej odpowiedzialności moralnej.

Kołakowski dowodzi więc, że tak pomyślana etyka może demoralizować, może sprzyjać wyrachowaniu i prowadzić tym samym do rezultatów sprzecznych z założeniami i celami każdej etyki.

Bardzo często zdarza się w polemice, że od wyrażenia dezaprobaty wobec tezy, z którą nie można się zgodzić, przechodzi się w dalszym ciągu przede wszystkim do krytyki argumentów, którymi ta teza jest uzasadniona. Przepadek taki znaleźć można m. in. w esej B. Shawa „Kobieta kobieta”. Autor tego szkicu podejmuje polemikę z tradycyjnym poglądem, który głosi, że naturalnym i wyłącznym powołaniem kobiety, prawdziwie kobiecą sferą działalności i zainteresowań są kuchnia i pokój dziewczyny. Shaw nie jest przekonany, że sam fakt iż kobieta rodzi przysparza jej zamilowań i umiejętności gospodarstwa w sposób tak naturalny jak przysparza jej mleka, oraz automatycznie wyznacza jej orbitę działania na całe życie. W dalszym ciągu swych rozważań koncentruje się przede wszystkim na ośmieszeniu różnorodnych argumentów, którymi zazwyczaj uzasadnia się kompromitowany przez niego pogląd.

„To prawda oczywiście, że większość kobiet lubi dzieci i woli swoje od cudzych. Ale to samo odnosi się do większości mężczyzn, a mimo to mężczyźni nie uważają pokój dziewczynnego za właściwą sferę działania. Można by ten argument posunąć do groteski, przytaczając fakt, że większość kobiet posiadających psy lub i woli je od cudzych; ale nikt nie proponuje, żeby te kobiety poświęciły życie hodowli szczeniąt.

Jeżeli doszliśmy do przekonania, że kuchnia i pokój dziewczyny są naturalną domeną kobiety, to postąpiliśmy dokładnie tak samo, jak dzieci angielskie, które dochodzą do przekonania, że klatka jest naturalną domeną papugi, ponieważ nigdy nie widziały papugi poza klatką. Spotyka się bez wątpliwości filisterskie papugi podziwiający zapatrywania swych właścicieli, że lepiej przebywać w klatce niż poza nią, tak długo w każdym razie, aż znajdują w niej ziarna kukurydzy i siemięcia konopnego. Mogą istnieć nawet papugi idealistki, które potrafią w siebie wmówić, że powołaniem papugi jest zapewnić szczęście rodzinie gwizdaniem i mówieniem „Piękna Polly”, i że wyrzekając się własnej wolności dla altruistycznego celu dusza prawdziwej papugi znajduje najwyższe zadowolenie. Nie posunę się tak daleko, żeby twierdzić, że istnieją teologicznie myślące papugi, dla których więźnie jest wyrazem woli Boga, pewien jednak jestem, iż istnieją racjonalistycznie myślące papugi, które potrafią udowodnić, jak okrutną przysługę wyrządziłyby się papudze wypuszczając ją z klatki na pastwę kotów lub co najmniej zapominając o tym, jakim delikatnym stworzeniem jest papuga, jak bardzo jej cienka z natury tkanka musiałaby zgrubieć w twardej walce o byt. Mimo to jedyne papugi, z którymi człowiek o wolnej duszy może współczuć, są papugi zdecydowane nie uprzyjemniać nikomu życia, dopóki się ich nie wypuści na wolność”. („Kwintesjencja ibsenizmu”, s. 52/53).

W jednym tym fragmencie polemicznym posługuje się Shaw różnorodnymi technikami ośmieszania: doprowadza do absurdu argumenty przeciwnika oraz demaskuje ich bezpodstawność, dokonuje zaskakujących lecz trafnych porównań, parodiując sposób rozumowania i karykaturując wreszcie postawę niektórych kobiet w tej kwestii.

Oczywiście sposoby ośmieszania argumentów przeciwnika są różnorodne i jeden nawet najbardziej bogaty i obszerny przykład nie może ich wyczerpująco zilustrować. Najskuteczniejszą metodą jest jednak chyba ujawnienie absurdalności argumentów i sposobu rozumowania przeciwnika przez rozwinięcie ich do oczywiście absurdalnych

STATNI chronologicznie cykl rysunkowy Tadeusza Kulisiewicza, ze względu na tematykę lotniczą zatytułowany „Stalowe skrzydła”, pokazany w muzeum w lubelskiej bramie Krakowskiej, jest dobrą okazją do przypomnienia kilku etapów powolnego tworzenia artysty, który od wielu lat zajmuje trwałą i szczerą pozycję w polskiej sztuce współczesnej. Skłania do tego występowanie w tym cyklu wielu cech formalno-ideowych, które dostrzegaliśmy już w grupie rysunków pt. „Warszawa 1945”, zostały następnie oczyszczone i doprowadzone do ostatecznych konsekwencji w kolejnych cyklach podręcznych, „Stalowe skrzydła” bilansują niejako wcześniejsze rozwiązania.

Rysunki Kulisiewicza z lat 1945-54, (chodzi mi głównie o polską wojnę), wyznają sobie podroży zagranicznych, różniąc się dość znacznie między sobą, co w pierwszej chwili skłania do porównania ich do reportażu, z wszystkimi tego gatunku cechami: doświadczenia, aktualności, honorowania faktów. Jest to jednak wrażenie przelotne, albowiem syntetyczna forma rysunków z Chin lub Czechosłowacji nie funkcjonuje w sensie poznawczym, nie poszerza naszej wiedzy o przedmiocie artystycznej interpretacji. Poza tym rysunki oprócz podpisów nie zawierają na ogół żadnych cech na tyle charakterystycznych, aby można je uznać za dokumentację konkretnego miejsca. Były więc raczej notacją osobistego odczucia artysty, przybierającą kształt o tyle odmienny od dotychczasowych rozwiązań, o ile obiektywnie istniejący krajobraz różnił się od poznanego gdzie indziej. W stosunku do rysunków cyklu „Warszawa 1945” charakteryzowały się pewnym uproszczeniem, lapidarnością formy; dalszą ewolucję w tym kierunku przyniosły wielkie cykle podręczne.

Z pobytu w Indi w r. 1956 przywiózł artysta szkicownik wypełniony rysunkowymi notatkami ludzi, pejzażu, zwierząt; materiał ten posłużył mu do opracowania cyklu „Indie”, wykonanego piórkami i lawowanym tuszem. Rysował Kulisiewicz bogów ze skalnych świątyni Ełory i Adany, których wpływ ujawnił się stylizacją pewnych motywów, przenosił na papier zaobserwowane sceny rodzajowe, często opracowywał grupy kobiet i bawoty na tle szarych pól. Pod względem środków — technicznych i formalnych — ograniczył się do piórka, którym prowadził czyste kontury i kreski, nakładane często na plamy lawowanego tuszu. Używał w ten sposób, zwężając, syntetyczne zarysy

Linie „Stalowych skrzydeł”

portretowanych twarzy lub bardziej malarskie i przestrzenne pejzaże.

Czterokrotnie, w latach 1957-1960, wyjeżdżał Kulisiewicz do Meksyku, a każdorazowo pobyt w tym kraju rósł w sobie wielodniowej wędrówce po miastach, wsiach, pracowniach wybitnych twórców i ludowych artystów, przygotowujących do występów karnawałowe maski. W następstwie tych kontaktów powstał obszerny, liczący kilkadziesiąt prac cykl „Meksyk”, w którym po raz pierwszy zdecydowanie wprowadził artysta kolor; w dalszym ciągu rysował jednak piórkami portrety, lawowanym tuszem okrywał pejzaże, napotykaną przedmioty i rośliny.

Odmienny klimat emocjonalny, charakterystyczny dla Meksyku powiązanie ludowej tradycji, wywodzące się z indyjskich mitów, z dniami dzisiejszym tego kraju — ujawniły się w twórczości Kulisiewicza kolejnym nawrotem do ekspresji. Czerpał przy tym inspirację z form rzeźby ludowej, rysował „Judaś”, czyli wielkie zabawki z kartonu, trzciny cukrowej, gliny, malowane farbami przez domorodłych artystów, utracił się w końcu w twórczość ludową, „nałwim”. W rezultacie znikł dawny finezyjny rysunek, miękka linia i cienka nerwowa kreska, na ich miejscu pojawił się twardy i jakos „nieporadny” kontur, szorstki w swoim wyrazie. W tym cyklu uwidoczniła się też po raz pierwszy charakterystyczna siatkowa faktura tła, która przenika często przedmioty i przedstawianych ludzi, a pod względem technicznym jest wynikiem odciskania na papierze zamoczonych w farbie kawałków tkanin.

Cykl meksykański okazał się istotny dla twórczości Kulisiewicza albowiem innowacje techniczne i formalne tu zapoczątkowane występują później bardzo często.

W latach 1958 i 1961 odwiedził Kulisiewicz Wenecję, a rezultatem obu wizyt był kolejny cykl „Laguna Wenecja”, tak trafnie scharakteryzowany przez krytyka włoskiego Giuseppe Marchiori: „Kulisiewicz opracowuje dane i wspom-

nienia w poetycznej perspektywie fantazji, podkreślając często efekty światłocieni, aby wyraził w burzliwych i dramatycznych nianasach rzeczywistości życia ludzkiego, życia ludzi i krajów”.

Większość prac „Laguna” stanowią rysunki o charakterze ekspresyjnym, co jeszcze raz potwierdza właściwy Kulisiewiczowi typ postawy twórczej. Ekspresja ta wynika z dwóch faktów: z opracowania samej formy i ze znanej już z „Meksyku” metody animizacji przedmiotów.

I wreszcie, po barwnym „Sziembaruku”, przychodzi „Brazylia” z roku 1963, która sygnalizuje ustalenie formuły sty-

listycznej w prostej linii wynikającej z poszukiwań formalnych uprzednio zainicjowanych. Rysuje Kulisiewicz sceny taneczne i portowe, zaznacza kształty ptaków durubu, kreśli i maluje portrety. Wszędzie używa koloru, lecz głównym czynnikiem konstrukcyjnym rysunków jest w dalszym ciągu długa kreska i kontur.

„Stalowe skrzydła” pokazane w Lublinie pozwalają odnieść wiele z wymienionych tu cech formalno-ideowych, kierujących uwagę głównie na „Meksyk” i „Brazylie”.

Kam



STANISŁAW WEREMCZUK

Przypowieść

Mówią ci nie patrz tak
bo żrenkami płazem rozguledzię
niezgrabnym ruchem
rozłupiesz witraże

A ty wchłaniaś niebo
zaśmieconych ulic
błogosławisz leniwe kamienie
i światła reflektorów
z zieleni na czerwien
i czerwieni na zieleń
na przejściach

Idziesz
kruszyś palcami egły
gdy braknie schodów

Oto starzec zamyślonym wzrokiem
odprowadza cię łagodnie
poza horyzont
drzewa z hukiem
zamykają przesmyk

Gwiazdy nad twoim Belleem
spłynęły w mgławicę

Ojcowa dłoń kruszy drzewiec
i rzuca w ogień

Nie zabrales żadnego z przyjaciół
i kiedy mówią —
rozłupiesz witraże —
gładzisz wyświechtane plusze

Lublin

ZIELONY KARNWAŁ

(Dokończenie ze str. 1)

uwagę, że standard kultury na wsi to nie tylko świetlica, klub Ruchu, czy rolnika, ale również ośrodek zdrowia, zlewnia mleka, droga o stałej nawierzchni, ilość i jakość sprzętu w parku maszynowym kółka rolnicze. Doprowadzamy do tego, by potrzeby kulturalne wynikały organicznie z poziomu życia, poziomu cywilizacji na wsi, gdyż dopiero ta zależność zapewni trwałe powstawanie „faktów kulturalnych” mających gwarancję swej stałości przez ich miejsce w systematyce całości spraw danego ośrodka.

Dni 67 będą pierwszymi po zakończeniu obchodów 1000-lecia, podobnie Kongresu Kultury Polskiej i wskazania wyniku z tej okazji wychodzą na czoło założeni tegorocznych. Uwzględnione zostaną tak doniosłe rocznice jak 100-lecie urodzin Marii Curie-Skłodowskiej, 150-lecie śmierci Tadeusza Kościuszki i 200-lecie bibliotekarstwa wojskowego. Jednakże to znaczne akcje nadające splendor uroczystościom majowym — nie wyczerpują znaczenia Dni. Ich odżywiają i z każdym rokiem widoczniejsza cecha zasadnicza to przede wszystkim wyjście „za rogatkę”, „na trakt” kultury w jej każdej dziedzinie i przejawie. Skracca się łańcuch ogniw pośrednich. Pisarz styka się z czyteln-

Wprawdzie w samej nazwie Dni imiona tych środków masowego przekazu są uwidocznione, ale nie mając swego określonego dnia, dziennikarze uczestniczyli w majowych uroczystościach przede wszystkim jako sprawozdawcy. Również i w tym roku nikt ich w tym nie wyręczył, ale po raz pierwszy wystąpił jako „pełnoprawny” solenizant. Co jest tym godniejsze podkreślenia, że w ciągu aż dwóch (6-7 maja) Dni.

Zakończeniem majowego karnawału będą Dni Książki Polskiej. Tu nie potrzeba grubej krechy, ani kropki nad i. Książka stała się dziś artykułem pierwszej potrzeby, niektóre tytuły z wirym księgarskich znikają w ciągu paru niemal godzin, świadectwem jej atrakcyjności jest sprzedaż „spod lady”. Jeśli naganna to praktyka ze względu społecznych, samą książkę wysoko umieszcza w hierarchii społecznie i jednostkowo znaczących wartości.

Tak więc przez miesiąc trwać będzie to odprofesjonalizowanie, a przede wszystkim odadministratrowanie kultury. Jeżeli wyrażenie o „zielonym świetle” stało się już nadużytym sloganem, doda mu życia zieleń drzew, w których scenarii trwać będzie majowe święto. Rusza ten nieustający pochód muzyki, słowa, barwy i wiosny, a gdzie zaznaczy swój pobyt, pozostawi trwały ślad nie tylko na mapie geograficznej, ale przede wszystkim we wrażliwości ludzkiej. I nasza jest rzeczą, by ślad ten jak najusilniej utrwał.

Zygmunt Mikulski

OD BIERNATA DO CZECHOWICZA

Szymon Szymonowicz

Z SIELANKI „PASTUSZY”

Skowronczku! Już śniegi po polach nie leżą,
Już do morza rzekami pienistymi bieżą.
A tyś rad, i ku niebu w górę polatujesz
i garliczkami krzykliwym wdzięcznie przepierujesz.
Bo skoro wiosna rolę rozległe ogrzeje,
Skoro łąki kwiatkami pięknymi odzieje,
Wynikną i robaczki z ziemi rozmaite,
A ty potrawki będziesz miał z nich znamienite.
Jaskółczko! Już się na świat ukazała?
Już się ożyła? Już się z wody wyleciała?
Za tobą dni wesołe, i wietrzyk powiewa,
Za tobą i słońeczko ciepłejsej dogrzewa.
Narodzi ono tobie muszek niezliczonych,
Ty ich będziesz łapała po polach przestrzonych;
Będziesz łapała i do gniazdeczka nosiła,
Boś je sobie pod naszą strzechą ulepiła.
Słowiku, mój słowiku, co w tym kraju różnym
Od północy mię budzisz swoim głosem ranym,
I ty nie z serca śpiewasz i ciebie coś boli —
I ja śpiewam, a rym mój idzie po niewoli.

Szymon Szymonowicz (Simon Siminides, po nobilitacji z przydomkiem Bendoński 1558-1629), jeden z najwybitniejszych poetów wieku złotego, wychowaniec Akademii Krakowskiej, autor utworów łacińskich i polskich. Z Lubelszczyzną (ściślej — Zamojszczyzną) związany od r. 1593, kiedy to na życzenie Zamojskiego osiedla się w Zamościu i organizuje w tym mieście akademię; jest wychowawcą syna hetmana. Później przenosi się do Czerniechowa nad Puro (dopływem Wieprza), gdzie oddaje się pracy gospodarskiej i poetyckiej. Pochowany w kościele w Zamościu. Arcydziełem Szymonowicza są „Sielanki”, które już w Polsce przedrozbiorowej doczekały się osmiu wydań. Zaznacza się w nich wpływ Wergiliusza. Najoryginalniejsze z nich i najgłośniejsze — „Kołacze” i „Zęby”. „Kołacze” to wdziewany obrazek z dworku szlacheckiego. „Zęby” i „Pastuszki” odtwarzają niedole chłopów pańszczyźnianych. Przytaczamy tu utwerek mniej znanej sielanki „Pastuszy”.

M

OWI się o Szczecinie, że miasto posiada klimat, w którym wyjątkowo ciekawie rozwijają się inicjatywy kulturalne.

A oto nowy dowód niepokoju wyobraźni środowisk twórczych — Szczeciński Tydzień Teatralny. Impreza młoda. Przed rokiem odbywała się po raz pierwszy jako przegląd zawodowych teatrów małych form. Pomysł jej zorganizowania stanowią naturalny rozwój innej corocznej imprezy ogólnopolskiej — Festiwalu Poezji imienia K. I. Gałczyńskiego. Ideą Tygodnia Teatralnego jest stworzenie aktorom okazji do zaprezentowania działalności artystycznej uprawianej niezależnie od pracy zawodowej. Na mapie teatralnej kraju notujemy szeregi świeżych artystycznie zjawisk, nie mieszczących się na tradycyjnej scenie dramatycznej. Szczecin wystąpił więc z propozycją szerokiej prezentacji tych dokonań, stwarzając zarazem okazję do konfrontacji i porównań tak potrzebnych każdej twórczej inicjatywie. W ciągu 6 dni (19-24.III) stał się miejscem prezentacji widowisk i programów realizowanych przez aktorów z Krakowa i Warszawy, Nowej Huty, Białogostoku, Wrocławia, Katowic, Torunia, Olsztyna, Kielc, Łodzi, Gdańska, i Częstochowy. Na Tydzień złożyło

II Szczeciński Tydzień Teatralny

się w sumie 21 programów, z tego 17 objętych konkursem.

Jak wszystko co świeże, również małe formy teatralne niechętnie poddają się wszelkim próbom kodyfikowania. Klasyfikację utrudnia fakt, że mamy do czynienia z dużą rozpiętością scenicznych gatunków mieszczących się w tym pojęciu. Oglądaliśmy montaż utworów poetyckich, adaptacje prozy, scenariusze oparte na zapisach dokumentalnych i korespondencji, a obok tego sztuki pełnospektaklowe i recitale piosenkarskie.

Przynane nagrody dowodzą traktowania małych form teatralnych jako zjawiska dalekiego od formalizmu. Werdykt jury sygnalizował jednocześnie fakt, że prezentacje te łączą się z obecnością literatury o dużych wartościach. Staranność o poziom literacki zaświadczenia była utworami W. Majakowskiego, S. Mrożka, S. Grochowiaka, S. Becketta, S. Wyspiańskiego, T. Manna, montażami poetyckimi, jak na przykład program „Trzynasty apostoł” oparty na wierszach W. Majakowskiego i korespondencji poety z Liłą Brik (pierwsza nagroda), jak montaż poetycki „Sonata księżycowa” w którym wykorzystano teksty współczesnych poetów greckich Seferisa i Ritsosa, wykonany przez

Irenę Jun, aktorkę z Nowej Huty, czy program poetycki „Cyrkowe sztuki cenię” zrealizowany przez aktorów białostockich A. Iwańca i T. Sowińskiego.

Mimo wyraźnego zróżnicowania problematyki, korzystania z wielu poetyk, zdecydowanie zaznaczyła się obecność tematu podejmującego doświadczenia ostatniej wojny. Sygnalizowała ona jednocześnie konieczność szukania dla tych treści rozwiązań scenicznych poddanych różnorodnej dyscyplinie artystycznej, niezbędnej przy temacie, którego aktualność wymaga szczególnie klarownego przekazu.

Szczeciński Tydzień Teatralny stał się miejscem prezentowania wielu ciekawych kreacji aktorskich. Były one udziałem powszechnie znanych artystów, jak Ryszarda Hanin, znakomita w roli Winnie w „Radośnych dniach” Becketta, Marta Stebnicka, którą słuchaliśmy w recitalu dawnych piosenek polskich „Tabakiera Króla Jegomości”, jak Mirosława Dubrawska i Tadeusz Malak, wykonawcy programu „Trzynasty apostoł”, jak Aleksander Serwak doskonale kreślący szereg realistycznych szkiców portretowych w „Życiu współczesnym” w adaptacji opowiadań S. Mrożka.

Zobaczyliśmy także wielu młodych aktorów o bardzo dojrzałym wyrazie scenicznym: Henryka Giżyckiego z Kielc, Jerzego Korzyńskiego z Teatru Stefana Jaracza w Olsztynie, łódzkiego aktora Henryka Józwiaka czy wspomnianych już: Irenę Jun, Aleksandra Iwańca i Piotra Sowińskiego.

Znacznie ciekawszy w porównaniu z rokiem ubiegłym program Tygodnia Teatralnego nie oznacza braku przedstawień polemicznych czy nie w pełni udanych. Zdarzały się i takie. Częstokroć ich przyczyną był nadmiar zaufania do tekstu i do tematu. Nie sprawdził się na scenie montaż przygotowany przez Halinę Słowicką pt. „Twarze” poświęcony przeżyłom kobiet w okresie okupacji, oparty na materiałach dokumentalnych i fragmentach książki B. Nawrockiej „Powszedni dzień dramatu”. Aktorka a zarazem autorka opracowania dała się opanować żywiołowi materiałowi i po prostu niedobrej literatury. Ryszard Smożewski, uważany za jednego z wybitniejszych przedstawicieli teatru małych form, swe poszukiwania prezentował dwoma programami. Jego adaptację opowiadania S. Grochowiaka „Trismus” pokazał kielecki Teatrzyk Dziennikarza i Ak-

tora. Teatr z Częstochowy wystąpił natomiast ze sztuką „Dallas w samo południe” S. Bratkowskiego i R. Smożewskiego, zarazem jej inscenizatora i reżysera. Oba przedstawienia zasługują na baczną uwagę, gdyż ich kształt sceniczny jest znamienity dla poszukiwań dokonywanych w ramach gatunku małych form teatralnych. Oba, chociaż w różnej mierze, obrazują pewne niebezpieczeństwo bądź niepanowanie nad sumą literackiego materiału, bądź koncentrowania się nad ornamentyką widowiska kosztem czytelności przekazu jego myślowej zawartości.

Bogactwo przeżyć, różnorodność stylizacji scenicznych, ranga szeregu kreacji aktorskich — złożyły się na interesujący w sumie obraz II Szczecińskiego Tygodnia Teatralnego. Była to impreza, o której rozmianach mówi nie tylko ilość widzów oglądających przedstawienia w klubie szczecińskim „13 Muzy”, ale także ci odbiorcy, którzy 18 przedstawień konkursowych zobaczyli w salach klubów i domów kultury na terenie całego województwa. Szczecin, jak z tego widać, stał się miejscem gdzie podejmowane w różnych, nie zawsze łatwych warunkach dokonania sceniczne zwane małymi formami teatralnymi, są z niewątpliwym pożytkiem konfrontowane i z uwagą przyjmowane przez widownię.

Wiesław Głowacz

od BIEBRZY NO BIESZCZADY

ZUBOŻONA POEZJĄ

W pogoni za przed parą dniami wystanym wierszem pt. „Letnie południe”, wysyłam jego drugi wariant — trochę bardziej dosłownie. Mimo że według Waszej oceny takie wiersze pisanie „za czasów Piasta”, nie rezygnuję ze „swobodnej” formy, bo uważam, że jeden tylko je — formuły — kierunek (uznawany) skłania monotonię i zubożenie naszą współczesną poezję, stwarza zupełnie niedomówiony elitaryzm...

Z głębokim szacunkiem

STANISŁAW PUCH
Trawnik 4/Lublina

NIE NALEŻĘ DO PONURAKÓW

Chciałem podzielić się kilkoma uwagami na temat Waszej rubryki — „Poście restante”, a poproszę „Litery Park”

„Kamień” prenumeruję już drugi rok, a przeglądam mniej lub bardziej dokładnie wszystkie czasopisma literackie ukazujące się w kraju. Kiedy po raz pierwszy ujrzałem tę rubrykę w „Kamieniu” zacząłem się zastanawiać — w jakim celu to uczyniono?

„Szpilki” — wiadomo — hawia czytelników nawet kosztami innych czytelników, którzy odkryli w sobie talent satyryczny. A zatem wspólna zabawa... Nieco inaczej wygląda — moim zdaniem — sprawa u Was. Nie należę do ponuraków i lubię się posmiać, ale — wybaczyć mi to uwagi — ta rubryka w Waszym piśmie trochę mnie zaniepokoiła, tym bardziej, że zauważyłem w niej 13 i 14 „pościów” — amatorów pisania. Nie mogłem tego jakos pogodzić z powagą pisma literackiego o dobrym smaku. Te same role spełniałaby u Was dowcipnie i niekiedy ze swadą prowadzona rubryka „Odpowiedzi Redakcji”. Przecież wszystkim piszącym wydaje się, że piszą rzeczy niezwykłe, oryginalne i niepowtarzalne, piękne, ale nikomu z „pościów” nie przyjdzie na myśl, że czasem wręcz intencją — piszą rzeczy śmieszne. Czy w takim przypadku nie wystarczyłoby negatywna odpowiedź w poszerzonej kolumnie rubryki „Poście restante” — rubryce „Odpowiedzi Redakcji”? „Życie Literackie”, „Liter”, „Nadodrże” i in. pisma dają pewne „recepty” czy krótkie krytyczne omówienia nadsyłanych utworów.

Zdaje sobie sprawę, że każda redakcja zaspokajana jest dziesiątkami listów, które niekiedy i świętego mogłyby wyprowadzić z równowagi, ale to były i są rzeczy nieuniknione. Są te, które nie mogą się pogodzić z bierną rolą konsumenta dóbr kulturalnych i zczynają twórcy ku utraپieniu redakcji czasopism literackich.

Proszę mi wybaczyć te uwagi krytyczne. Zdaje sobie sprawę, że nie muszę być wzięty pod uwagę, że Redakcja wie lepiej itd., ale chciałem się nimi podzielić, bo krytyka — byle zdrowa itd...
Łączę wyrazy szacunku.

FRYDERYK PODOLECKI
Kraków

O FOTOGRAFIACH AKTEK

W sposób, który przy dużym zasobie dobrej woli można nazwać dowcipnym, p. R. Kiełb z Radomia manifestuje swoją niechęć do zdjęć aktorek, zamieszczanych na drugiej stronie Waszego poczytnego pisma.

Nie wiem, czy pan Kiełb chodzi do kina, czytuje inną poza „Swierzyńskim” prasę, nie wiem też, ile autor tamtego listu ma lat i jakie są jego poglądy polityczne. Jestem natomiast przekonany, że jest on gorącym sympatykiem kobiecych wdzięków. Skąd takie spostrzeżenia? Z uważnej lektury listu pana Kiełba! Z jaka jednoznaczna przesłannością opisuje pan Kiełb kobiece wdzięki, z jaką fachową wprawą, ba, maestrią bism „dział, dobiera słowa, aby obraz każdej aktorki był odmienny, soczysty, wabliwy. Wiadomo przy tym z psychologii, że zmienni w swych uczuciach mężczyźni, goniący za każdą napotkaną spódniczką, cierpiący na tzw. kompleks Don Juana, nie są, o dziwo, wcale męscy. Nasuwa się więc podejrzenie, że p. Kiełb krytykując w sposób prosty odwet na piękniejszej połowie rodzaju ludzkiego za swoje ciaste nurałki erotyczne. Wyszło sżydo z worka!

A swoją drogą: dobierane ze smakiem zdjęcia na pewno urozmaćcają stronę i dobrze świadczą o Redakcji.

M. PODGÓRECKI
ekonomista z Przemysła

DO DZIAŁU LITERACKIEGO

Pani Redaktorze, po przeczytaniu w „Wiatakach” skłonu Krzysztofa Nowickiego pt. „Obowiązek krytyki”, który emawialnie zwrócił uwagę Redakcji, że właśnie „Kamena”, pismo o tak bogatych tradycjach, wiążących ją z literaturą polską, pismo poświęcające tyle miejsca modelowi powieści i powieści, powinno kontynuować dyskusję nad stanem dzisiejszej krytyki. Jest to problem ważny, co nie wymaga uzasadnienia, i dlatego raz jeszcze apeluję do Redakcji o podjęcie tej dyskusji. Jeśli na wet nie przyniesie ona konkretnych rezultatów, to da przynajmniej jakiś obraz wznowionej krytyki literackiej. A to już dużo.

Przesyłam pozdrowienia

WIESIAW GŁOWACZEK
Opole

BIAŁYSTOK

„Białostocka plastyka” to tytuł ekspozycyjnej w gmachu Teatru im. A. Wierzyckiego wystawy malarstwa i rzeźby. Bieże w niej udział 25 autorów spośród liczącego obecnie 50 osób środowiska plastycznego.

Białystok, rodzinne miasto Zamenioła przygotowuje się do obchodów 80-lecia powstania esperanta. W samym Białymstoku jest ponad stu esperantystów. Mają oni liczne kontakty z esperantystami zagranicznymi. W tym roku w okolicach Augustowa zostanie zorganizowany młodzieżowy obóz językowy. Weźmie w nim udział 10 esperantystów z Białegostoku i z zagranicy.

W Borkach pod Augustowem odbędzie się w sierpniu dwutygodniowe spotkanie przedstawicieli nauki i kultury zwanymi z regionem pochodzeniem lub pracą naukową. Cel „Spotkania z Białostoczną”: zapoznanie uczestników z problematyką ekonomiczną, społeczną i kulturalną województwa.

Studencki Teatr „Kontrasty” przygotował na swoje 5-lecie „Chmury” według Arystofanesa. Przedstawienie ma doskonałą prasę i cieszy się dużym zainteresowaniem publicznym.

KIELCE

W związku z majowym „Świętem Prasy” — obchodami dwudziestolecia powstania RSW Prasa — kieleccy plastycy przygotowują wystawę poświęconą plenerowi kieleckiemu. Będzie ona ekspozycyjna na jednej z centralnych ulic Kielca.

Na Kielecczyźnie istnieje 730 klubów „Ruch” i „Rolnika”. W tym są 463 kluby „Ruch”, w których jednak dolichno się zaledwie 123 telewizorów, 74 radiolodowice i 8 magnetofonów. Nieco lepsza sytuacja jest podobno w klubach „Rolnika”.

Korespondencyjny Klub Młodych Pisarzy istniejący przy ZW ZMW liczy 19 osób. Prowadzony są rozmowy z redakcją „Głosu Młodzi Wejskiej” — w sprawie specjalnej wkładki literackiej kieleckiego KKMP.

W Pińczowie stanął wkrótce pomnik Adolfa Dygasińskiego, który pochodził z tych stron. Nad pomnikiem pracuje kielecki rzeźbiarz Zygmunt Kaczor.

Prenumerata czasopism ZMW przez członków tej organizacji przedstawia się w Kieleckim następująco: „Głos Młodzi Wejskiej” — 1385 egz., miesięcznik „Razem” — 120 egz. Natomiast niepokojąco niska jest prenumerata „Zarzewia”.

LUBLIN

W związku z bliskim 20-leciem Robotniczej Spółdzielni Wydawniczej „Prasa” odwiedził Lublin jej prezes Tadeusz Galina. 19 kwietnia Tadeusz Galina spotkał się w klubie „Nora” z lubelskim środowiskiem dziennikarskim.

Od 5 do 7 kwietnia trwały w Lublinie Dni Kultury Węgierskiej. Zorganizowała je WKZZ. W związku z „Dniami” przybył do Lublina ambasador WRL Ferenc Martin z grupą pracowników ambasady.

9 kwietnia w salach BWA otwarto wystawę plastyczną grupy „Zachęta”. Jest to już 53 kolejna ekspozycja „Zachęty”, jednak w Lublinie grupa wystawia po raz pierwszy.

Kolejna studencka giełda piosenek odbyła się w Chatce „Zaka”. Z bliziej nie znanych nam przyczyn nie uczestniczyli w niej stali reprezentanci Lublina na giełdach — Kazimierz Grzeszkowiak i Michał Hochman.

Od 19 do 21 kwietnia trwała II Studencka Wiosna Teatralna zorganizowana przez RO ZSP i Akademicki Teatr UMCS „Gong P”. Wzięło w niej udział kilkanaście studenckich zespołów teatralnych z całego kraju. „Wiosna” poprowadził Międzynarodowy Festiwal Teatrów Studenckich we Wrocławiu.

RZESZÓW

W Rzeszowie wniesiono akt erekcyjny w fundamencie przyszłego gmachu Państwowej Filharmonii im. Artura Małkowskiego, Najmłodszą, jedyną w Polsce Filharmonią, będzie się mieściła przy ul. Chopina.

Jerzy Pielniarowicz, kierownik i reżyser Teatru im. Wandy Siemaszkowej, otrzymał nagrodę Centralnej Rady Związków Zawodowych. Od ponad dwudziestu lat Pielniarowicz współpracuje z amatorem ruchem artystycznym, ma duże zasługi na polu upowszechniania kultury.

W maju odbędzie się w Rzeszowie XX Krajowy Zjazd SIMP. Weźmie w nim udział około 400 osób. W związku z zjazdem rzeszowski oddział stowarzyszenia przygotowuje m.in. bogato ilustrowane wydawnictwo „Przemysł maszynowy województwa rzeszowskiego”.

W teatrze rzeszowskim kolejna premiera — „Antygona” — Jess Anouilh’a. Reżyseria Jerzego Szymańskiego, scenografia Jerzego Szymańskiego. W roli tytułowej — Joanna Jarzębska.

W Cergowie, w powiecie krosnieńskim, tamtejszy chór „Echo Górskie” obchodzi dwudziestolecie istnienia.

Neglegacja „Blyskawicy”

(Szkie okolicznościowy)

OSTRZE satyry kluje jeszcze jako tako w zakładach pracy, gdzie zdarzają się pijacy i bumelanci. Tam też przetrwały ostatnie „Blyskawice” — kartony upstrzone przez społecznych artystów wizurkami obywateli o dwóch prawych nogach. Natomiast w szkole „Blyskawice” wyszły z mody. Od czasu jak przestały krytykować bikiniarzy stracily rację bytu. Dzieki wieloletnim staraniom pedagogów, profil szkolnych gazetki ściennych został wreszcie definitywnie zdeteminowany. Winny one kształcić i uczyć. Problem to ważki i niebagatelny — jak piszą zawodowi publicyści. W związku z czym, na Dni Oświaty, Książki i Prasy — rzecz o szkolnych gazetkach ściennych, o prasie, która nie ma kłopotów ani z papierem, ani z przemysłem poligraficznym...

Gazetki ścienne odgrywały zawsze ważną rolę w życiu szkoły. Ich apogeuem przypada jednak — jeśli wierzyć starszym pokoleniom — na pierwsze ćwierćwiecze dwudziestego stulecia. Ze wspomnień literatów dowiadujemy się, że przed kilkudziesięciu laty gazetki szkolne były mniej więcej na poziomie „Współczesności” czy biuletynu poetyckiego „Hybryd”, a w ich redakcjach wraza, rodziły się talenty. Nierzadko więc pisarze okresem pracy w gazetkach szkolnych, wzbogacając swoją bio-i bibliografię literacką. Niestety, burze dziejowe, które kilkakrotnie przewalily się nad naszym krajem, zniszczyły owe cenne juvenilia. Przedstawiciele pokolenia „Blyskawic” pisują i dzisiaj do prasy, co pozostaje nie bez wpływu na charakter jej rozwoju. Młodzież, zgodnie z duchem epoki postępuje coraz bardziej zdecydowanie w kierunku jak największej kondensacji, ba, całkowitej nieraz eliminacji tekstów. Spacerując po korytarzach szkół łatwo zauważymy, że w gazetkach ściennych teksty literackie i polemiczne — rachityczną lub zanikają. Ewidentne dla poprzednich okresów prasy szkolnej wartości — skrawki. Dzisiejsza gazetka posługuje się prawie wyłącznie mową przyszości, ilustracją. Nie miała w tym pewnie zasługa nauczycieli wychowania plastycznego, którzy ostatnimi czasy napływają do szkół. Dzieki nim gazetki ścienne stają się małymi cackami, którymi może się pochłubić szkoła. Współczesny redaktor gazetki ścienniej spogląda na swoje pismo przez pryzmat osiągnięć współczesnej plastyki, staje się apologetą nowej sztuki. Powoli gazetka szkolna zmienia się w fotogazetkę. Coraz więcej w niej materiałów agencyjnych, fotografii sprowadzanych przez szkołę, dotyczących różnych rocznic, i następnie eksponowanych na łamach. Rola redaktora ogranicza się więc tylko do wbijania „pluskiewek” — mógłby przypuszczać ktoś mało zorientowany. Nic podobnego. Spoczywa na nim niezwykle odpowiedzialne zadanie: stał się selekcjonerem słowa pisanego, przemawia do czytelnika od razu całymi pojęciami, transponuje całe artykuły na obrazki. Ze przy tym korzysta najczęściej z pomocy gotowego materiału agencyjnego, to tylko wina niedopracowania służnego w zasadzie systemu. Ten system pracy ma jeszcze jedną zaletę. Dzieki niemu wzrasta znacznie kolektywu redakcyjnego — decyzyje podejmowane są jedynomyślnie i jednogłośnie. Dalej: wraz z eliminacją tekstu następuje eliminacja zbędnego personelu. W efekcie dochodzimy do kolektywu jednoosobowego. W dalszym roz-

woju gazetki może dojść do całkowitego wyeliminowania redaktora i wówczas będzie się ona ukazywać samą tylko siłą inercji.

Niektóre gazetki posługują się systemem zapożyczania materiałów z prasy z prawdziwego zdarzenia. Całą swoją powierzchnię poświęcają „urokom zimy” albo „pięknym Bieszczađów”, unikając nawet odnotowania rocznic i wydarzeń politycznych.

Wspomnieliśmy o zaniku literatury w gazetkach. Zauważyliśmy, że stała się inkoherentna z dzisiejszym modelem prasy ścienniej. Aczkolwiek — fakt stwierdzony — wielu młodym redaktorom marzą się próby literackie. Dowodem niech będzie gazetka kółka literackiego jednej ze średnich szkół technicznych. Pod potężnych rozmiarów winięta redaktor narysował fronton Teatru Wielkiego w Warszawie. Niżej pięknymi wersalikami wypisał: „Poeci nie tylko bawia lez uczą (non delectant sed docent poetas)”. Do tego ogranicza się całe słowo pisane, bo i zresztą więcej miejsca na arkuszu nie stało. I leż jednak treści w tym jednym prostym zdaniu! Tutaj dopiero system eliminacji zatriumfował. Zestawienie tekstu z frontonem teatru skłania do refleksji, każe doszukiwać się w tej pozornie abstrakcyjnej konfrontacji treści humanistycznych, zmusza czytelnika do myślenia. W dobie dzisiejszej artysta nie jest li tylko osobnikiem bawiącym tłum, cieszy się uznaniem i szacunkiem całego społeczeństwa! Korzysta ze stypendiów fundowanych i bezpłatnych wyjazdów zagranicznych, państwo otacza go szczególną opieką. Obecnie, kiedy w dobie sputników i zglębiania tajemnic Kosmosu, podnoszą się głosy o dehumanizacji technokratyzowanego społeczeństwa, ta ścienna gazetka uczniów szkoły technicznej jest widomym dowodem stałej przele pogoni każdego społeczeństwa za sztuką i pięknem! W prosty sposób potrafiła zawrzeć w sobie więcej treści niż wszystkie razem wzięte twory różnych zawodowych reporterzystów przemawiających językiem jak z „Zająca” Dygasińskiego!

Zbierając materiały do niniejszego szkicu trafiłem w jednej ze szkół na ostatnią „Blyskawicę”. Raczej na jej resztki, bo pozostał tylko tytuł i pusta tablica obita spowialym granatowym pluszem. Stanąwszy obok niej popadłem w rozterkę: jak mam teraz odrobić zadany temat — napisania „okolicznościowego” artykułu. Tymczasem naokoło lano się ciapami, rycieli i wylili młoci kolesy do obywatelstwie, chicholily dziewczęta oraz podejrzliwie spoglądali na mnie woźni.

Mirosław Derecki

Konkurs

Towarzystwo Przyjaciół Nauk, Stacja Naukowa PTH, Oddział Polskiego Towarzystwa Historycznego i Związek Nauczycielstwa Polskiego — Oddział w Przemyslu ogłasza konkurs pod hasłem: „Wies rzeszowska w ninionym 50-leciu”. Objętość prac nie powinna przekraczać 100 stron maszynopisu. Należy je składać w trzech egzemplarzach do dnia 31 grudnia 1967 r. pod adresem: Towarzystwo Przyjaciół Nauk w Przemyslu, pl. Czapkiego 2, z dopiskiem „konkurs” i podaniem godła. Nazwisko i imię oraz adres autora winny się znajdować w osobnej kopercie. Ustalono następujące nagrody: I — 5.000 zł, II — 3.000, III — 2.000 i 5 wyróżnień po 1 tyż. słotych. Dla nauczycieli, którzy wezwali udział w konkursie i wyróżnili się, ZNP przewiduje nagrodę godatkową. Prace nagrodzone (od I do III) będą publikowane w Roczniku Przemyskim. Rozstrzygnięcie konkursu nastąpi w 1968 roku. Skład jury zostanie podany w okresie późniejszym.



LISTY do redakcji należą do najchętniej czytanych rubryk czasopism i dzienników. Zawsze przynoszą one „coś z życia”, tą drogą daje o sobie znać krzywdą, niesprawiedliwością, jakiś istotny niedostatek życia społecznego, czasem radość. Czy opublikowanie listu załatwi sprawę, czy skieruje ją ku optymistycznemu zakończeniu, to inna historia. List interwencyjny pisze się po wyczerpaniu naturalnych dróg postępowania. Analizuje krąg tych spraw Jan Paweł Gaweł w „ŻYCIU LITERACKIM”. Piśze on, że wzbierająca fala listów do redakcji „jest odwrótnością i konsekwencją trapiącego nas zaniku poczucia odpowiedzialności i atrofii ryguru zawodowych w niektórych dziedzinach życia, przeświadczenia o własnej bezkarności spowodowanej bądź zachowaniem równowagi między podażą a popytem na rynku pracy, bądź skorumowaniem zwierzchników przez podwładnych. Towarzyszy temu zawyżaj nagminne lekceważenie partnera jakim jest każdy pent, a ponadto bogaty zespół zjawisk psychologicznych, okazała grupa kompleksów i zahamowań”.

Oczywiście — pisze autor — lepiej byłoby, aby nie trzeba uciekać się do pośrednictwa prasy między obywatelem a urzędem. „Ale gdy najprostsze rzeczy rozbijają się zbyt często o mur lekceważenia i poczucia bezkarności, gdy wielu ludziom brakuje elementarnej hamulca, instynktu przydatności, a pojedyncze próby przeciustawienia się zbywają się milczeniem albo poprzez zastraszenie tłumione w zarodku (albo co gorsze: „wyrównywanie” potem) — ta interwencyjna działalność prasy, praca całych biur i kartotek, pełna wytrwałości i dobrej woli, staje się ważnym elementem społecznej higieny”.

Wchodzimy w okres wzmożonych obchodów, uroczystości, zwiększonej liczby rozmaitych spotkań i wieczorów autorskich, których zewnętrzny rozmach nie zawsze pokrywa się z ich odbiorem społecznym. Zestawienie mnogości imprez z frekwencją, jaka im towarzyszy, nieraz już było przedmiotem prasowych alarmów. Bo przecież często szkoda sił i pieniędzy na przygotowanie spotkań, na które przychodzi parę osób. A co dopiero, gdy prace przygotowawcze dotyczą dużej grupy ludzi. Chodzi tu o artystyczny ruch amatorski.

Toteż ma świateł rację tygodnik rzeszowski „WIDNOKRACJE”, gdy w artykule „Coś tu nie gra” protestuje przeciw marnowaniu wysiłku wielu zespołów amatorskich, których praca nie wnika z potrzeb środowiska ani nie im służy, lecz pod katem zainteresowań i spojrzania członków jury w jakichś eliminacjach. Środowisko nie ma prawie żadnej okazji, aby zobaczyć wniki artystyczne miejscowego zespołu. Ale nawet przy okazji festiwalu również nie dochodzi do kontaktu zespołów z publicznością. Piśze autor:

„W tym gubieniu przez wiele zespołów amatorskich widza z pola swej uwagi tkwi jakiś bład. To zjawisko, występujące coraz wyraźniej, budzi żywy niepokój. I co gorsza, tudaje się, że nie wszystkim organizatorom festiwalu zależy na społecznej funkcji ruchu amatorskiego. Jeśli bowiem w czasie centralnych eliminacji Ogólnopolskiego Festiwalu Kulturalnego Związków Zawodowych w dziedzinie zespołów teatralnych sala widowiskowa w ZDK w

Stalowej Woli była prawie pusta lub w połowie zapełniona młodzieżą zachowującą się nonszalanie i niekulturalnie, to znaczy, że organizatorzy eliminacji nie dojrżeli szansy właściwego wykorzystania ambicji i trudu amatorów”.

A przecież oparcia społecznego ruchu nie można wyłączać, bo usuniecie widza doprowadzi amatorski ruch do uwiadki. Toteż trudno nie zgodzić się z refleksją autora artykułu: „Zespoły grają, kapele grają, a mimo to coś tu nie gra”.

Na koniec — coś z własnych oplotków. Swęga czasu „Kamena” wymieniła materiały redakcyjne z gdańskim miesięcznikiem „LITERY”, któremu zresztą w tej rubryce także poświęcamy uwagę. Ostatnio — nawiązując do dawnych kontaktów — „Liter” wydrukowały „List z Lublina” Marka A. Jaworskiego, w którym redaktor naczelny naszego pisma informuje o tym, co się ostatnio działo w lubelskim grodzie. Ale chcemy zwrócić tu uwagę na notę redakcyjną „Liter”, w której potwierdza się pragnienie zacieśnienia współpracy:

„Oczywiście pragniemy ją kontynuować. I nie wydaje nam się słusznym, aby trzeba było czekać pretekstu Święta Morza czy jubileuszu Lublina. Sądzimy, że codzienna realizacja wspólnych idei, dążeń, odmienne tradycje i doświadczenia zdobywane na dwóch krańcach Polski, stanowią dostateczną inspirację, wartościowy materiał publicystyczny, ciekawe tworzywo literackie, mogące aktualnie interesować zarówno autorów, jak i czytelników ziemi lubelskiej i ziemi gdańskiej. Postulujemy w tym zakresie zresztą nie tylko współpracę „Liter” i „Kamena”, lecz zblizenie wszystkich czasopism społeczno-kulturalnych kraju, częstszą niż dotąd wymianę materiałów, opinii, poglądów”.

Nie trzeba dodawać, że ta propozycja, już kiedyś przez „Kamena” wysunięta służy interesom nie tylko redakcji, ale i czytelników. Należy jej tylko zapewnić całkowitą skuteczność i ciągłość.

T. K.

»KAMENA«

Pismo lubelskiego oddziału Związku Literatów Polskich. Redaguje zespół: Konrad Biel-ski, Jerzy Dostatni (sekretarz redakcji), Marek Adam Jaworski (redaktor naczelny), Zygmunt Mańkowski, Zygmunt Mikulski — członkowie Kolegium Redakcyjnego, oraz: Mirosław Derecki (redaktor techniczny) i Ireneusz J. Kamiński (kierownik działu publicystyki).

Informacji w sprawie prenumeraty udzielają placówki pocztowe i Ruch. Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych i zastrzega sobie skróty.

Wydawca: Lubelskie Wydawnictwo Prasowe RSW PRASA, Lublin, Aleje Racławickie 1. Druk: Lubelskie Zakłady Graficzne im. PKWN, ul. Unicka 4. Adres redakcji: Lublin, ul. Graniczna 7 tel. 234-49

Zam, 1380, S.IV.57, P-3.

Z ŻYCIA WZIĘTE

Udawanie Greka

JESZCZE nie przebrzmiały emocje mistrzostw świata w boksie na Łódzie, a już Polska miała nową sensację. Ktoś w jakiejś gazecie odkrył, że ktoś przed laty odkrył, że na plebiscyście Keso-wo znajduje się obraz prawdziwego El Greco.

MINUTA MYŚLENIA

Dziw meteorologii

NIEMOŻLIWY zawód felietonisty. Przechodzi wiosna, a nie można pisać o wiosnie, tylko o „Wiosnie”. „Wiosna” to nazwa Wytwórni Sprzętu Metalowego w Radomiu, która produkuje między innymi law. pręty do zastaw, w języku potocznym obejmowane jeszcze mianem karniszy. Otóż na zew natury, która rozporządza tą obliczającą i zachęcającą porą roku, postanowiliśmy wzmocnić wielu indywidualności o skłonnościach optymistycznych dokonać pewnych przeobrażeń w moim najbliższym otoczeniu, a mianowicie we własnym pokoju. Czyli

BIG-BEAT

Zaproszenie do Ziemi Nowosądeckiej

PANIE Redaktorze! Ferie świetnie spędziłem na urzeżeniu Ziemi Nowosądeckiej. Ostatnio w Kryniei byłem przed czterema laty; przez ten czas coś niecoś się tutaj zmieniło. Wyrósł piękny Spół-

wa, gdzie ksiądz proboszcz wystawiał swojego El Greca na sebo-dy plebiscyście organizując w ten sposób jako pierwszy w Polsce wystawę jednego obrazu pod gołym niebem, dziennikarze sławiali nową sensację i cudowną peregrynację dzieła, zaś dwóch historyków sztuki otworzyli cztery zwalające się obrazy udawając, że obraz jest: a) niezabytym autentycznym, b) całkowicie fałszywym, c) częściowo autentycznym (głową), d) częściowo fałszywym (ciałem).

nie „wystąpił” okna jest czynnikiem decydującym o położeniu właściwych stosunków między pograżoną w kontemplacji jednostką ludzką a zewnętrznym światem? Prawidłowość urządzeń okiennych, prawidłowość spojrze-nia — te dwa czynniki ukazały mi się w bardzo ścisłym powiązaniu powodując decyzję: nowy karnisz. Ile się widziało rachitycznych kielichów wbrew prawom fizyki ciepłotychności na od-padających gwóźdźkach! Mój sta-ry powiększał ich kolekcję, pewnego wieczora poranka wstąpiwszy do sklepu z galanterią (i) żelazną postanowiłem wywozić się z udręki turystycznego szeregów za pośrednictwem „ponikliwanego” krzyku okiennej mody.

Nowy karnisz rzeczywiście blyszczał. Ale tylko blyszczał, ponieważ do funkcji swą nazwą przeznaczony nie nadawał się absolutnie. Nie nadaje się dalej. Przede wszystkim, by spowodować przyglądanie do ściany płytek blaszanych umocowanych po obu jego końcach, musiałbym dokonać zamianienia ściany. Nie próbowałem. Oprócz tego musiałbym spławić wystające części nagwintowanego pręta, a także o-sięgnąć cofnięcie się nazbyt ster-żącją blaski służące do zaha-czenia o hak. Na próbowałem. Musiałbym również dokreślić śrubę umocowującą pręt, której nie-dokreślenie powoduje chwielność

dzienników pełno było doniesień o niebawym sukcesie odniesio-nym przez niego na londyńskiej scenie. A więc rezentyzmowa-ne tłumy, pełne komplety widzó-w i nadziane superlatywami recen-zyje. Rosły serca Polaków, a pod-wórkach pojawiły się pierwsze grupy dzieci, grające „W teatr narodowy” oraz „W aktora i ak-torkę”.

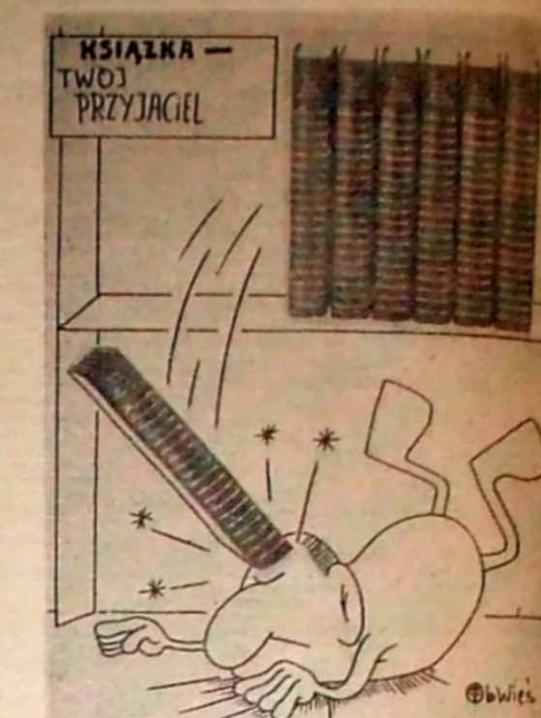
całej konstrukcji. Próbowaliśmy, ale nie mając śrubokrętu — raz-ciej bezskutecznie. W sumie zm-użony jestem zamiar renowacji okna realizować innymi środkami.

Proszę „Wiosny”. Nie chodzi mi o 204 (słownie: dwieście cztery) złote, które wydałem bez spo-dziewanego efektu. Bywa, że człowiek coś czasem zgubi, co można wytlumaczyć interwencją nieubłaganego fatumu. Ale nie mogę uznać za nieubłagane fa-tum partactwa, które jest udziałem rzeczywiste istniejących lu-dzi. Dlaczego takie „prety” się produkują? Dlaczego takie „pre-ty” wypuszcza się na rynek? Jak długo nasze „wytwórnie sprzętu metalowego” — a nie tylko me-talowego — będą dostarczały spo-sobności do takich pytań? Czy może liczą na to, że w tym względzie nastąpi coś w rodzaju społecznego zubożenia i już wcale nie będziemy zwracać u-wagi na jakość towaru oddawa-nego w nasze ręce? To wrócić sobie — proszę państwa — od ra-żu do jakiegoś, a wtedy furda nam takie drobizki, jak nie pasujące karnisze, bo — chwalić Boga — w ogóle okien nie będzie-my potrzebowali. Odbiorca wca-le nie jest nastawiony na to, by dokładać każdego wyrobu sprawdzając za pomocą śruby mi-krometrycznej czy suwaka Noniu-sza. Ale ma prawo mieć nadzie-

ję, że w wytwórni, gdzie ów sprzęt się produkuje, w użyciu jest przynajmniej centymetr.

Jeżeli moja żona pragnąc za-oszczędzić na malowaniu nie we-zwie malarza, ale poprosi dozor-czynię, która ma pedzel z prosa, może być przygotowany na za-cieki na ścianie. Ale tu przecież firma, i pieczęćka i „metka”. Czy nie wystyd jednej i drugiej? „Wiosnie” tak się serwilnie kom-promitować? Przecież tak samo byłbym obsługany, gdyby mi wręczono walek do ciasta. Rów-nie dobrze mogę na nim powie-sić firankę.

Nie chodzi mi o kupiony przed-miot. Chętnie go „Wiosnie” wró-cić nie żądając z powrotem pienię-dzy. Może go przerobi na kar-nisz. Ale obawiam się, że w wielu placówkach naszego przemysłu lekkiego zagubiono takie pojęcia. Jak linia prosta, kąć prosty, sym-метрия i przystawianie. A także takie, jak odpowiedzialność za pracę mimo nieuniknionej spo-łecznej i powszechnej kontroli. Tak się obawiam, bo już jestem taki dziwak. Dopóki mnie ktoś nie przekona, że krawat służy do umocowywania obuwia, szelki do wznoszenia pod szyją w charak-terze ozdoby, parasol do nosze-nia kartofli, a przemysł lekki do wytworzenia happeningów i na-strojów surrealistycznych.



Rys. W. Fuglewicz

Z cyklu „Moje deklinacje”

Pomyślne rozdwojenie

Zauważyłem to już w czasie porannego golenia. Kiedy jak zwykle przy tej czynności pogwizdywałem sobie radośnie, zaczęły się pojawiać te kwarty, tercje, a najczęściej agryzokoloty nony. Ale dopiero po południu naprawdę mnie to zanępkoloty: wyraźnie gwizdałem podwójnie. Nie dość tego: fałszywie. Co mnie, pierwsze skrzypka miejscowej filharmonii, szczególnie drażniło. Mimo to, z bólem i odrazą, zacząłem sprawdzać te dysonanse.

Kiedy straszna prawda prawie już poznałem — weszła Katarzyna. — Dzień dobry, mój. Słysz, że jeste w dobrym humorze. Głowa cię już nie boli? — Jesteś w podwójnie dobrym humorze — odrzekłem. — Za d a n a głowa mnie nie boli. — To się cieszę. A ja jestem skonana. Tyle godzin hardy za kilka złotych. Wiesz, że nie mamy już ani grosza do pierwszego? Gwizdałem podwójnie i przeciągaj, żeby się jeszcze upew-nić. — A ty sobie na to gwizdziesz! — Ale czy nie uważasz, Katarzyno, że gwizdę sobie dziwnie? — Tak, to bardzo dziwne. Aha — przypomniała sobie — idę z koleżanką do kina. Wybac, że zostawiam cię samego. — S a s e g o? — zapytałem ironicznie. — Ostatnio nigdy nie jestem sam. — Dowiaduję się bardzo ciekawych rzeczy. — Jest nas po prostu dwóch. — Czy przypadkiem nie dwoje? — Dwóch! — krzyknąłem. I po raz pierwszy już i krzyk mi się podwoił. — Zaczęłem tłumaczyć jej fałszywymi tercjami: — Katarzyno, to jest straszna choroba. Schizofrenia. Podwójna osobowość. Dwa w jednym. Jedno w dwóch. Rozdwojenie jaźni... — Więcej przynajmniej nie będziesz się teraz tak nudził. Mogę spokojnie iść do kina — i poszła. — Gwizdałem jaźni. — Ty trochę fałszujesz — powiedziałem ostrożnie. — Mnie się zdaje, że to ty — odrzekłem. — Chyba nie. Ale kto tu właściwie jest ty a kto ja? — Dwa ja. Znam się na tym. Jestem psychiatrą. — Psychiatria? — Tak się złożyło. Tak się akurat rozdwoiło. — Ale to doskonałe! — wykrzyknąłem. — To znaczy, że będę się mógł sam wyleczyć. Twój fałszywy gwizd doprowadza mnie do rozpaczy. Jak wiesz, jestem muzykiem. — Psychiatria. — Muszykiem. Możesz się zapytać Katarzyny. — Nie przejmowała się specjalnie naszymi kłopotami. No, ale powiedzmy, że cię wyleczy. Wtedy jednak któryś z nas musi zniknąć. Przysięgam, że nie mam na to specjalnej ochoty. Jak jest to jest, ale wolej już podwójnie niż w ogóle. — Nie przepuszczasz chyba, że ja zniknę? To byłaby ta znana historia, że operacja się udala, ale pacjent... — Zasmucił się. — Tak, trafiłeś mnie, odwołując się do lekarskiej etyki. Wy, artyści, nie macie żadnej. Muszę zniknąć, żeby wyleczyć — po-wiedziała z gorzkością. Zamyślił się. — Tak, tylko psychomania. Zadawanie kompleksów działalności, które trzeba ujawniać. Czy miałeś trudne dzieciństwo? — Potworne. Matka nigdy nie pozwalała mi trzymać palca w buzi. A bardzo to lubiłem. — To wystarczy. Wiecej słuchaj teraz uważnie. Jeśli zrozumiesz przyczynę swojej choroby, zostaniesz uleczony. Otóż, ponieważ matka wzbierała ci tak wielkie przywiązanie, (które mi teraz ledwie możemy się domyślić) powstała w tobie jakby chęć wyjęcia z siebie, ponieważ nie mogłeś wyjść spod opieki matki... — Niestety, jego słowa przemieniły się w niezrozumiały, cichy, ale dokuczliwy hełkot. — Mów głośniej! — krzyknąłem. — Słysz cię, ale nie rozumie. — Dalej hełkot dokuczliwie. — Mów wyraźniej! Nie rozumie ani słowa! — Niestety, nic z tego nie będzie. Nie wyleczy cię. Kiedy jesteśmy już na dobrej drodze i ja zaczynam zniknąć, przesta-lesz mnie rozumieć. I przez to nie mogę zniknąć całkowicie. — Więcej co będzie? — Nie wiem. Zrobiłem co mogłem. Wpadliśmy w zadumę. — Właściwie to byłoby mi cię żal... — powiedziałem. — A mnie... — Przyszliśmy do siebie. — Ach, nie ulegałymy ekwilivmu uczuciom. Im bardziej będziemy się lubić, tym bardziej będzie nas dwóch. — No to co? — Co żona ma to powieć? — Ostatecznie mogę się wyprowadzić. — Zostawisz mnie samego? — Nie, nigdy! — Nie będzie wiedziała, co zrobić. Dwóch mówów... — Trójkat... — Rozdzielone uczucia, potworny konflikt serca... — Właśnie wtedy wróciła Katarzyna. — Wiesz idąc z kina po-wyślałam sobie, że z tym rozdwojeniem twojej jaźni to do-skonala rzecz. Już od pierwszego będziesz mógł wziąć dwa etaty!

Janusz Danielski

NOTY i notki

UCZCIE SIĘ — KOLEDZY, trzeba napisać redaktorom „Kultury”. W nr z 18 kwietnia pismo zameściło rozmowę z ministrem Oświaty i Szkolnictwa Wyższego, zapoatrując ją tytułem „Discie puer latinae”. Chodziło o wprowadzanie w szkołach średnich ograniczenia w nau-czeniu języka łacińskiego. No i jak widać apel, wyrażający z tytułu na pierwszej stronie, redaktorzy „Kultury” powinni skierować do wszystkich pod własnym adresem. Pozwalamy bowiem sobie skrom-nie zauważyć, że prawidłowo jest „discie puer latinae”. Fe — i to w wywiadzie z ministrem!

CIEKAWOSTKI zawsze są chętnie słuchane i czytane. Wobec tego „Tygodnik Morski” proponuje, aby zamiast literatów, którzy teraz nie jedzą na urlopy do Ustki lecz do Sopotu, zapraszać na wieczory literackie teściowe literatów, które nadal darzą sympatią Ustkę. I słusznie — w ten sposób będzie można poznać sprawy literackie rzeczywiste od kuchni.

JĘZYK KONFERENCYJNO-ZEBRANIOWY obfituje nie tylko w no-wotwory słowne, ale i — jeżeli tak rzec można — w pojęciowe. Nie-dawno w Kielcach na konferencji w sprawie turystyki panie gwał-townie się czerwiły słysząc coś takiego: bazę noclegową mamy jeszcze skąpa, więc musimy zrobić wszystko, aby rosła wydajność z łódka. Pocekalajmy więc kilka lat, a będą kłopoty z nowym wyżem demograficznym.

HOTELE TURYSTYCZNE otrzymały ankietę, w której jedno z py-tań brzmiało: czy i kiedy czyszczone są kołdry, koce i poduszki? Na szczęście ankietę wypełniał pracownicy hoteli a nie goście, co zresztą z góry stawia pod znakiem zapytania celowość takiej ankiety.

„JEZELI W DANYM MOMENCIE nie ma zwierzchnika pod ręką” — martwi się Jerzy Walawski w „Dzienniku Polskim” (nr 79). Jak z naszego smutnego doświadczenia wynika, zwierzchników ma się ra-czej nad głową, co jednak nie zupełnie inny sens.

MAMO CHWAŁ MNIE — przypominamy sobie dziecięcine powie-dzenie po przeczytaniu wywiadu z Kobiela w „Głosie Szczecińskim”. Po-galarny aktor po występie w telewizji mówi: „Sawodzi gratulowali

ta. Co „Imperial” proponuje na śniadanie? Postuchajmy: jajka sadzone na maśle, jajecznicza na maśle, jajecznicza na szynce, jaj-ko w szklance, jajko w kieliszku, szynka konserwowa, szynka mie-lona, polędwica konserwowa, cie-plecna konserwowa, kiełbasa, pa-rówki z chlebem (zakopaliśmy lub młoczymy). Co, panowie nie mają ochoty na jajka i wędlinę? Może więc reflektują na utrupie-nienie pierzywa w postaci: loso-sia marynowanego, sardynki, sera wamińskiego, sera salami, miodu pszczołego, dżemu oliw-kowego lub dżemu truskawkowe-go? Widzę, że panowie lakomym okiem spoglądają na słodczyce. Co oferuje „Imperial”? Bitą śmie-taną z morelą, brzoskwiniami, jabłkami, bananami, rodzynkami, czekoladą, pomarańczami (ceny w granicach 3-4,70 zł za 100 g). Poza tym kremy: karmelowy, kawowy, cytrynowy, waniliowy, śmietankowy, hiszpański, a także galaretkę owocową z bitą śmie-taną. Są i torty: moca, hiszpań-ski, orzechowy i czekoladowy. Są również lody śmietankowe.

I co do picia? Nie wymienię dwunastu gatunków likieru, szes-nastu gatunków win (w tym samych Vermuthów sześć: Istra, Martini, Bachus, Warna, Alpini i Winprom), pięciu gatunków wi-niaków, czterech koniaków i

dwańców gatunków szampana, bo panom łatwo może zawrócić się w główkach. Natomiast proponuję kawę. Ale na jaką panowie ma-ją ochotę? W „Imperialu” można wypić: kawę naturalną, kawę murynek, kawę „nebraska”, ka-wę po duńsku, kawę „kapucy-nek” i wrzescie kawę mrożoną. Najdroższa kawa po duńsku (z czekoladą i śmietanką) kosztuje 9,50 (200 g).

Obsługa jest bardzo miła. Tiu-maczy, doradza... Panowie handlowcy, panowie gastronomicy nie wierzą? Menu kawiarza „Imperial” leży w re-dakcji. Każdy może je obejrzeć. Wyjątkowa okazja na 450-lecie Lublina.

Niestety, nie wzięłem karty o-biadowej z restauracji II kate-gorii o patriotycznej nazwie „Obywatelska”. Obiad dziecienny w postaci: zupy pomidorowej, paluszków ze słoniną i kisielu kosztuje 5,30 (słownie: pięć zło-tych, trzydzieści groszy). Za co? Panowie handlowcy, panowie gas-tronomicy lubiście nie konsum-ują obiadów dzieciennych? Pro-zę mi darować pomyśle, ale pa-trzajże na lubelski handel, na lu-belską gastronomię, tak łatwo się pomylić!

Jacek

mi po audycji, sugerując, że jestem znakomitym aktorem, pewno najlepszym w tym genre w Polsce”...

NIEZBYT POPISALI SIĘ księgarze na „pierwszym specjalistycznym kursie”, poświęconym znajomości i sprzedaży płyt. Z 55 uczestników świadectwo ukończenia otrzymało 23 osób. No ale cóż — dobre płyty i tak znajdują nabywców. A swoją drogą to musiał być straszny kurs, jeżeli składał się — jak pisze „Przegląd Księgarski” — aż z jedenastu kursokonferencji. Tym 28 należało obok świadectw dać jakieś medale za bohaterstwo.

PRAWDZIWE OGNISTYM TEMPERAMENTEM — mimo 49 lat — wyróżnia się Anna G., ze wsi Lipiny Doine pod Białgorą. Ponieważ Józef O. nie dotrzymał obietnicy małżeństwa — Anna podpaliła jego stodołę. Przy okazji spłonęły jeszcze 4 stodoły i 2 obory. Zar na pogorzelsku gaszono i dał. Ile czasu Anna G. będzie musiała spędzić w więzieniu, aby wygasł żar odrzuconej miłości?

TO BYŁO NIEKULTURALNE, chociaż nadane w ramach progra-mu kulturalnego. Chodzi o film dokumentalny o Nikiforze Krynie-kim. Z zainteresowaniem oglądaliśmy reprodukcje rysunków, ale po-kazywanie chorego artysty w czasie badań i zabiegów lekarskich bardzo nas zrażało.

PEWIEN PAN Z KRAKOWA spóźnił się na ślub kolegi w lubel-skim USC i potem nie wiedział, gdzie szukać nowożeńców. Pani z pocztowego biura informacyjno-złeceniowego zadzwoniła do kilku domów pod pierwszy lepszy numer pytając, czy z sąsiedztwa nie słychać chóralnego „Sto lat” lub „Góralu czy ci nie żal”. W jednym było słychać i koledzy odnaleźli się. Oto więc znaki rozpoznawcze Polaków.

A MÓWIĄ, ŻE WSPÓŁCZESNE DZIEWCZĘTA nie znają życia. Oto wypowiedź maturzystki na temat małżeństwa, zanotowana w „Ga-zecie Białostockiej”: nie wyobrażam sobie, jak mogłbym żyć przez dłuższy czas pod jednym dachem z wybranym mężczyzną. Ponieważ „Gazeta” podała imię, rzecza dla Białostoczan nie trudna w sidentyfi-kowaniu. Niezwyrodnia, której w konsekwencji są mównice głupstw groziło może staropaniństwo. Ale wydaje się, że Jerzy G. też osta-nie starym kawalerem. Zna bowiem „musiałaby być dobra, nie-kłóliwa, zaradna no i oczywiście ładna, nie imponują mi dziewczę-ry nastąpiowane”. A gdzie takie, mili estowiska, znajdziecie?

Odpowiedzi redakcji

Z. R. w Białymstoku. To, co Pan przysłał do redakcji, trudno nazwać wierszami. Rzecz nie w tym, że tylko Pan rymów uświata naślado-wać „modnych” poetów. Niech Pan spróbujcie postawić swoje utwory szluczywych schol-ków. Co Pan przysłał? Bardzo kiepska proza, jakiej wystrzą-wić dziś nawet dziennikarze piący sprawozdania z ob-chodów. To dobrze, że jest Pan za przeobrażeniami spo-łecznymi, ale swój entuzjazm niekoniecznie musi Pan zarażać „wierszami”. „Kata” w Katowicach. Ob-tudzenie bezbarwno i och-matyczne. Już w notacji je-tury krytyczny wie, tak Pan się zakochy i nie chwyci ani o Jote. Po co więc martwi-je Pan czas i papier? A co gorsze w trakcie pisania go-peniła Pan coraz więcej błę-dów ortograficznych. Ortogra-fia to nie Toto-Lotek. Zapy-sze „spółzwać”, a nie „spół-zed”. „zawzwe”, „idea” a nie „idea”.

Jednodniówka Białostockiego Towarzystwa Kultury

PORTRETY

Motto:
„I gdzie mi lepiej, gdzie miłsi
mi ludzie,
gdzie kraj piękniejszy, ziemia
lepiej znana...
(słowa nieznanego mazurskiego poety)

KRYSTYNA MARSZAŁEK

NIE miało to miasto szczęścia do poetów. Żaden nie utrwalił go w poezji. Był wprawdzie jeden co przekazał historii wiekopomne słowa: „A te figury moczą się w wodzie i moczają”, ale i jego wiedza nie wykraczała poza Pracki na Plantach, fontannę na Rynku, Ratusz, czy Wersal Podlaski. Nie doczekał się więc w mieście swojej ulicy, a jego imienia nie przekazują z pokolenia na pokolenie mieszkańcy.

Właśnie mieszkańcy. Miasto to przecież nie tylko „drogie kamienie”, ulice, parki, nowe osiedla mieszkaniowe. Miasto to także ludzie starzy i młodzi, przemijający w pośpiechu ulicami, zajęci pracą, stoczeni w miejskim autobusie, wygalantowani na niedzielnym deptaku, radośni i zakłopotani, smutni i weseli, serdeczni i opryskliwi. Ludzie. Czy kochają swoje miasto? Czy w szarżynie dnia codziennego mają czas na określanie stosunku do niego? Czy ich przywiązanie do znajomych ulic, domów, widoków jest dziełem przypadku, przyzwyczajenia, czy też są to sympatie głębokie, przemysłane? Nie udzielił odpowiedzi na te pytania poeta. Niech więc zastąpi go reporter. A że pióro jego jest mniej lotne, a wyobraźnia przyziemna — wybaczyć reporterowi.

W niewielkim warsztacie na rogu Fornalskiej i Zamenhofska ruch i

Od dwóch lat ukazuje się periodycznie w Białymstoku Jednodniówka społeczno-kulturalna „KONTRASTY”. Pragnąc zaprezentować szerzej dorobek białostockiego środowiska twórczego, przedrukujemy z kilku numerów Jednodniówki wybrane teksty, życząc zarazem „Kontrastom” dalszego rozwoju.

łtok przez cały dzień. Wśród tykania zegarów spotkały się trzy pokolenia białostockich zegarmistrzów. Dziadek Konstanty, jego syn Mikołaj i wnuczka Liża. Dla dwóch innych Żytkiewiczów, rozmówianych w skomplikowanych mechanizmach, zabrakło już miejsca. Dziadek popatruje na syna, obserwującego przez lupę funkcjonowanie kół i sprężyn, na wnuczkę, zglębiającą dopiero tajemniki rodzinnego fachu, podciąga od czasu do czasu wagi u złożonej własnoręcznie staroświeckiej „kukulki”, a sportrząszczy nowego interesanta nie może oprzeć się wspomnieniom.

— Pamięta pan Białystok z roku 1905?
Przybysz oczywiście nie pamięta i nie wie, że dziadek był wówczas młodym chłopcem, że tak jak jego dzisiejsi wnukowie palił się do zegarków, ale losy rzuciły go daleko od kraju. Wcielony do rosyjskiego wojska popłynął wraz z bałtycką flotą nad brzeg Pacyfiku i tam po pamiętnej kłęsce pod Cuszimą dostał się do japońskich niewoli. Kręcił się koło japońskich zegarmistrzów, podpatrywał ich tajemnicze zawodowe, tak że gdy wrócił do domu był już fachowcem pełną gębą i mógł myśleć o założeniu własnego warsztatu.

O tym warsztacie i o innych, w których pracował, dziadek Żytkiewicz opowiada chętnie. Niejedno w życiu przeżył i widział, najędździł się też sporo po świecie zanim osiadł w swym mieście rodzinnym na stałe.

— Czy nigdy nie żałuje tego, że wybrał właśnie Białystok?
— Nigdy. Gdzie indziej czułby się źle. Tu się przyzwyczail. Zna każdą ulicę, każdy dom. Wszystko tu swoje, blińskie, serdeczne, związane wspomnieniami z młodością. Miłość Konstantego Żytkiewicza do miasta jest trwała i ugruntowana wieloletnimi przemysleniami. Można mu wyryć, gdy podkrewiwszy wąsa wyjaśnia kolejnym słuchaczowi:
— Panie, świat duży i piękny, ale nigdzie nie tak dobrze jak między swymi...
Dziadek nie wyjechałby nigdy na

stałe z Białegostoku, a jego syn, Mikołaj?

— Po co, czy mi tu źle? Wnuczki nie pytałam o zdanie. Z zastuchania w dziadkowe opowieści wyniosłam wrażenie, że i ona jest równie wielką patriotką swego miasta.

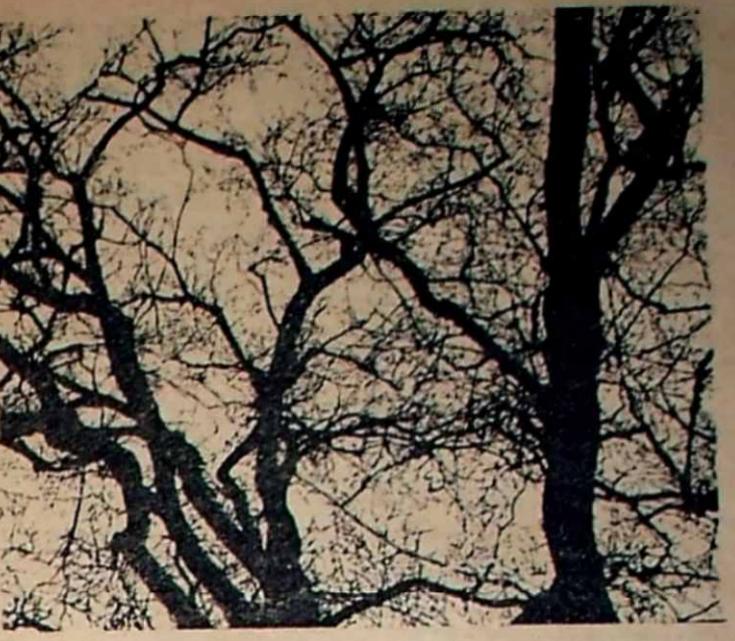
Przez szyby księgarni na Rynku Kościuszki miasto wydaje się małe i staroświeckie. Choć i tu wszystko powstało od nowa: ratusz, kamienice, zieleńce, ulice. Zachowała się w tym zakątku jakaś dawna atmosfera. Zdaje się poszarzyłbyś tynki kamienic, usunął asfalt jezdni i zieleń trawników, zapalił latarenki obok muzeum, a ożyłby jaggot handlarzy z ratuszowych kramików i trzaskanie dorożkarskich bałtów.

Pani Stanisława Kłosowska często przebywała w tym „sercu” miasta w swojej młodości. Jako uczennica rozplaszczala nos na szybach sklepików z książkami, wtłoczonych w ciasne kłitki, i marzyła o pracy w księgarstwie. Dziś gdy wspomina tamte czasy uśmiecha się. Życie okazało się hojniejsze. Nawet w najśmielszych marzeniach nie mog-

ZBIGNIEW ŚLĄCZKA

przez pryzmat ciebie

podszłaś tak blisko
zamykam oczy
ze szczęścia
zamykam oczy
z bojaźni
kiedy je otworzę
zniknie świat
poza tobą
otwieram i zamykam
rozkosz i bojaźń
znajduję świat w tobie
zamieniam bojaźń
w nadzieję
liczba znaleźć rośnie
[w nieskończoność
przechodzi w niespodziewaność
ludzie umierają
nie obejrzący nigdy
pełnej panoramy



Zaczarowany dwór

RYSZARD KRAŚKO

KAZDY ma dom swoich marzeń. Najczęściej jest to dom, w którym się nigdy nie żyło. Dla jednych to będzie luksusowa willa miejscowego potentata, dla innych — nowoczesna kamienica w centrum miasta. Dla innych jeszcze pałac dziedzica odgródzony od wsł w wysokim żywopłotem i skuteczniejszym niż żywopłot — murem tradycji. Każdy z nas ma jakiś taki właśnie dom. Taki dom opiera się niszczycielskiemu działaniu czasu, nie są w stanie zburzyć go ani wojny, ani zniszczyć pożary. Ma zapewnione stałe miejsce w naszej pamięci i wyobraźni i trwa tam w niezmiennym stanie tak długo, jak trwamy my.

Mój dom nazywałem Zaczarowanym Dworem, choć nie działało w nim nic tajemniczego i choć to nie był wcale dwór. Był to jeden z tych starych domów, jakie w naszym mieście budowano w końcu zeszłego stulecia. Przypominał trochę zasobniejsze domy wiejskie. Miał ganek od frontu i drugi, znacznie obszerniejszy od strony sadu. Otaczały go stare kasztany i lipy. Myślałem, że było w nim chłodno i że panowała tam wilgoć, ale w czasach gdy nosilem krótkie spodnie wydawał mi się najdoskonalszą budowlą, jaką kiedykolwiek wzniesiono. Marzyłem o penetrowaniu jego rozległych strychów, kryjących zapewne całe stopy takich wspaniałości jak zakurzone meble, porzuczone i zaśniedziałe lampy, obrazy bez ram i rany bez obrazów. Marzyłem też o tym, by móc przebywać w letnie upalne dni na tym dużym ganku lub kryć się na nim w czasie ulew-

nych deszczy. Były to czasy, gdy ojciec wbił mi w głowę jak kanyon wiary tekst „Pana Tadeusza”. Zaczarowany Dwór wyglądał jakby go wyjęto z kart tej epopei...

W Zaczarowanym Dworze w czasie okupacji mieszkał chłopiec — Niemiec. Nie wiedziałem jak się nazywał, nie rozmawiałem z nim nigdy. Zazdrościłem mu tego, że może mieszkać w tym domu, tak jak zazdrościłem mu wielkiego psa, czarnych obcisłych spodenek, lśniących półbutów i krótkiego sztylceku, który nosił przy pasku. Niosąc na rynek warzywa albo ciągnąc wózek z ubieranymi w lesie gałęziami, zatrzymywałem się nieraz przed tym domem i patrzyłem, jak chłopiec uganiał się z psem po ogrodzie. Nigdy nie mogłem zrozumieć jak mu się chce biegać. Ja bym najchętniej siedział całymi godzinami na tym ocienionym ganku.

Potem Zaczarowany Dwór przestał dla mnie na jakiś czas istnieć. Mijałem go w pośpiechu, objętny na jego uroki rzeczywiste i urojone. Może bym nawet zawędrował na ocieniony ganek, gdyby się na nim w tym czasie pojawiło jakieś marzenie w spódnicy, ale widocznie nie mieszkała tam żadna dziewczyna w odpowiednim wieku. A jeszcze później...

— Wiesz, rozbierają dom Wilhelma.
— Czy?
— No, Wilhelma, ten na rogu. Nie umiałem sobie skojarzyć tej informacji z Zaczarowanym Dworem. Kiedyś pewnie też tak go nazywałem jak matka, ale od wielu
(Dokończenie na str. następnej)

Naukowiec samotnik

STANISŁAW Dworakowski urodził się w 1907 roku we wsi Dworaki-Pikuty koło Sokół. Już jako kilkuletni chłopiec zgromadził kilka brulionów notatek o zwyczajach ludowych w okolicy. Gdy uzyskał maturę, ojciec „wydzierżawił” mu hektar ziemi. Stanisław zasiał na nim warzywa. Uzyskane z ich sprzedaży pieniądze pozwoliły mu rozpocząć studia w Warszawie, na wydziale literatury oraz etnologii i etnografii. Wszystkie wakacje i ferie spędzał w powiecie wysokomazowieckim na wędrownych wosach. Gromadził notatki. Towarzystwo mu muzyk Waclaw Mikołajczyk. W roku 1932, jeszcze jako student, wydał dobrze ocenioną przez specjalistów książkę pt. „Zwyczaj rodzinne w powiecie wysokomazowieckim”. W 1933 r. rozpoczęto druk następnego, szerszego opracowania pt. „Kultura społeczna w pow. wysokomazowieckim”. Niestety, wojna zniweczyła w znacznym stopniu wieloletni trud, z pożogi wojennej ocalała tylko część notatek.

Autor przeżywszy kilka lat tułaczki i przesiedlenia w niemieckich obozach, osiadł w 1945 r. w rodzinnych Sokolach. Wydawało się, że z pracą naukową zerwał na zawsze. Zajął się pszczelarstwem. I w tej dziedzinie osiągnął znaczne sukcesy (wypracował m. in. linie „sokolanka”, dużo publikował w czasopiśmiennictwie fachowym). Podreperował zdrowie chwycił się etnografii. Co jesień, skończywszy pszczelarski sezon, penetrował mazowieckie wsie na WFM, autobusami, piechotą. Rozpytywał ludzi na czwartkowych targach w Sokolach, na odpustach. Dzieło swoje realizował samotnie, nie znalazł zrozumienia u instytucji i osób, do których zwracał się o pomoc.

niż jakkolwiek powieść w ostatnie dziesiątki poprzedniego i w początku XX wieku, tego wieku, który przykrył gwałtownie i bezprowincjonalnie bogaty świat ludowej kultury dymami fabrycznymi, przestroni telewizorami. To wielka zasługa — ocalić ów świat od zapomnienia.

— Uchylmy rąbka tajemnicy w sprawach ugody i powodzenia. Co w tej materii miałby pan do przekazania współczesnym dziewczętom ze skarbicy mądrości ludowej?

— Za piękną uchodziła ta dziewczyna, która była dobrze zbudowana, miała białą skórę i rumieńce na twarzy oraz długie włosy. Ażby nie „ogorzeć” na słońcu, kobiety zakrywały głowę chusteczką, ale także dla uzyskania białej cery wielkie elegancyjne myły twarz wodą z pierwszego śniegu, bo chciały mieć „oblicz białe jak śnieg”. Inne myły się serwatka i oraz tą wodą, w której maczano ręce przy wyrabianiu chleba.

Dziewczyna będąc jeszcze podolkiem, ażeby mieć długie włosy smarowała je smalcem („okrasą”), a po zabiciu wiewra zjadała specjalnie dla niej gotowaną śledzionę („śłodzeń”).

Ponoć były i takie, które podczas pełni księżyca wystawiały na jego światło swe pierśi, żeby mieć je ładne i pełne.

— Gdy kawaler panne upatrzy, jak ma się zachować, żeby nie wyjść na gburę?

— Goście wchodząc mówią „pochwalonego”, a jeśli przyjechali z daleka i bez uprzedzenia, rodziciele panny, pytają: „Czy mi nie zbłądzili?” Gospodarz uspokaja ich, że trafili, prosi do izby gościennej. Po wstępnej rozmowie kawaler wyściągają z kieszeni palta butelkę wódki i stawia ją na stole, a tymczasem matka dziewczyny gotuje klejbasę na zakąskę.

Jeśli panna przy obecności w czasie kompletów wypije wódkę od kawalera, oznacza to, że chętnym okiem spogląda na jego projekty ożenkowe.

Przed odjazdem rajko odwołuje pannę i jej rodziców na stronę i udziela im wyjaśnień o rodzinie danego kawalera, o jego pokrewieństwach i stanie majątkowym (ile ma ziemi, koni, krów, ile wysiewa zboża, jakie ma urodzaje itp.). Naturalnie nie omieszka chwalić go, że „robotny”, że „dobry”, „dobro ma naturę” itp., naturalnie „trochę przytę, dołoży, boć to jego rola”.

Podczas następnego odwiedzin rajko stara się z lekka wybałać ojca dziewczyny, ile da za nią posagu. Niekiedy zagaduje otwarcie: „A ileż to beżete laska córka zarobiła u ojca?”

— Czasami panna należała jeszcze podłotek, a pan młody lisy. Czy to szkodzi?

— Ludzie mówią: „To tak, dobrał się w sań raz. On ja dochowa do rozumu, a ona jego do śmierci”...

— Powiedzmy doszło do wesela. Wiemy, że przedtem muszą być opatry, umowy, podarki ślubne, zapraszanie na wesele, a potem w niedzielę rozpłeciny, we wtorek ślub, w środę przynosiny, pokładziny, ocepiny, w czwartek i piątek obiady składkowe, a w niedzielę okruczy. Ale — co podaje się na stół weselny?

— Z jadła wysuwa się na pierwsze miejsce wiewprzania gotowana i duszona, na zimno i na gorąco. Wódka konieczna, bez niej nie ma wesela. Chociaż wesele było najczystsze, a wódki niewiele, będą mówić: „Co tam takie wesele, nawet wódki żalowali!” Z innych potraw najczęściej występują: galareta z nog, kapuśniak lub barszcz buraczany, rosół z kuskami lub ryżem, a dawniej groch, pasternak, a u biedaków nawet repa. Jadalni o charakterze obrzędowym są: korowaj, pieczona kura.

— Co lepsze — córka czy syn?

— Mówią: „Co chłop — to chłop” — „Co tam baba”. „Nie warto ze to habstwo żyje na świecie”. „Chłopak to hodaj się na kamusku rodzi”. Względem natury materialnej również przemawiają na korzyść chłopca, gdyż ten, ożeniwszy się, przysporzy jeszcze majątku, córce zaś „trzeba dołożyć, zbo je chcieli wziąć”.

— Wtęć co robisz, żeby syn był?

— Pięć dziecka zależy jakoby od przewagi najmniejszej jednej ze stron. Poza tym są jeszcze lub były zabiegi magiczne, jak np. wkładanie czapki nowożeńcom pod poduszkę na chłopca, a trzeźnika na dziewczynę. Gospodarzowi, któremu rodu było tylko córki, radzono podłożyć pod łóżko siekierę („mieszka robota zaxwe z siekierą”).

— A sekrety gospodarskie?

— Uprawę roślin w dużej mierze uzależniano od „zian miesionca”, czy też księżyca. Wywieszano obronik na pola podczas „pełni miesionca”, „zeby było pełno”, „zeby się w polu zrodziło”. Jednak pod ziemniaki niektórzy gospodarze wywieszali obronik „na starem miesioncu”, „zeby nie było robaków”.

W drodze na pole oracz strzegł się, żeby „kobieta droci mu nie zasta”, bo nie wiodłoby się w czasie orki, „woly kręciłby ratalow”. Spokładni tygodnia do rozpoczęcia siewu zboża za najrodowidniejsze uważano środy, zwłaszcza soboty.

Najtrudniejszym do wytepienia chwastem był oses. Podczas świąt dorocznych w dniu św. Szczepana stosowano święcony owies, rozsiewając go po zachwaszonym polu, inni rozrzucali po polu skorupki jaj wielkanocnych, jeszcze inni przed wyjściem do pierwszej wiosennej orki smarowali tuziszczem z szynki wielkanocnej sołnki u sochy, aby zniszczyć „diabliście ziele”.

— To z zakresu agronomii. A zootechnika?

— Aby zabezpieczyć krowy przed czarami, urokiem czy przed wytwarzaniem czarnego mleka, gospodyni przy pierwszym wiosennym wypędzie spalał popiół w garnuszku do mleka i skakała przez niego, inna spalała popiół w poprzek podwórza, przez który przechodziły krowy.

Najlepiej chowa się było takiej maści, jakiej jest linica przebywająca w danym obelciu.

— A teraz może parę słów z innej dziedziny, o zachowaniu się w domu?

— W takim miejscu należało zachowywać się zgodnie. Grzechem więc było gwizdać w mieszkaniu, siedzieć w czapce, zanieczyszczać powietrze. Dzieciaka zachowywającego się nieprzystojnie, pedzono przez z mieszkaniem, zwłaszcza od stołu. Starsi wymyślali mu: „Czy nie widzi, że tu obrzy święte, a na stole chleby? Swętnych rzeczy nie usunąjesz, swyniarzu! Won stąd!”

Podczas jedzenia nie wolno śmiać się — mówili starzy — „grzech”. Jeśli śmiała się dziewczyna mówiono jej, że będzie miała głupiego męża, a chłopiec — głupią żonę. Przy jedzeniu nie pozwalano czytać, bo się „pamięć zaje”.

— W razie, nie daj Boże, choroby — jak postępować?

— „Przedcy cy późni, kozny musi zżyć z tego świata”. Dlatego też, o ile ktoś zachoruje, najczęściej inni zwracają się do lekarza, a oczekując zgonu z biernym poddaniem się „woli bożej”. — „Nie pomogę leki, gdyś cas niedaleki”. — „Prawda, tak było — tak myślano, postępowano jak pan opowiada. Ale, słyszałem, w roku 1935 po opublikowaniu pierwszej książki, niektórzy miejscowi czytelnicy zarzucali autorowi, że „omieszali ich kraja w oczach cywilizowanego świata”.

Taka opinia była zbyt jednostronna i wysoka niesprawiedliwa. Poza wyrażającymi już przesadami kultura ludowa kryje w sobie wiele cennych i trwałych wartości. Czepiał z niej hojnie tworzywo do swych dzieł liczn twórcy — pisarze i muzycy.

— Właśnie. Głównie, dzięki literaturze i muzyce znany kulturę ludową regionów Polski, np. Podhala, Łowickiego, Kurpiowszczyzny. Nudny tamtejsze piosenki, powtarzamy przypowieści. Niestety, naszego rodzinnego folkloru, mazowieckiego i podlaskiego, prawie nie znamy. Paradokś. Mele Pana książki tę lukę uzupełnia...
Oby, choć w części...

Rozmawiał: E. Redliński

ZACZAROWANY DWÓR

(Dokończenie z poprzedniej strony)

już lat przestał dla mnie istnieć jako realna budowla, a swoje wyobrażenie o nim nazywałem zawsze Zaczarowanym Dworem.

W tym samym dniu wracając z pracy stanąłem jak wryty: Zaczarowanego Dworu nie było. Sterczały wprawdzie jeszcze ściany, ale zniknął już dach, rozebrano też ganek od frontu. To co zostało wydawało mi się jakies nieznanne. Dopiero gdy przysmakłem oczy ujrzałem na powrót swój Zaczarowany Dwór. Był taki sam jak wtedy, gdy w gorący dzień stałem przed nim z wózkami chrustu a chłopiec w obcisłych, czarnych spodniach uganiał po ogrodzie z psem. Ze też mu się chciało w taki upał...

Obszedłem dom dookoła. Ganek od strony sadu jeszcze stał. Podeszedłem bliżej. Po raz pierwszy widziałem z tej odległości wydeptane kamienne schodki, szerokie ławy po obu stronach, lśniące, wyglądzone przez tysiące siedzeń. Dalej były drzwi dwuskrzydłowe, szerokie, u góry rzeźbione jakby, w dole ozdobione nabijanymi kwadratami.

Otworzyły się właśnie i z tej na wpół już zniszczonej budowli wyszedł człowiek z siekiera. Spojrzał na mnie jakby zaokoczone. Pewnie gapiłem się tak, że go to zaintrygowało.

— Pan może w sprawie rozbiórki? — Nie, nie... Jak tylko tak, przez ciekawość. Mieszkał tu niedaleko, więc...

Ożywił się. — Przedtem też pan tu mieszkał? — Znaczą — za Niemca, w czasie okupacji...

— Tak. I przed wojną. — Wbił siekierę w słup podpierający dach ganku. Cała przybudówka za drzazą. Posypało się próchno.

— Diabła warta cała ta chałupa. Kupiłem to na rozbiórkę, z licytacji. Prawda, że za grosze, ale zarobić to ja na tym nie zarobię. Trochę cegły z kominów będę miał, kamienia... Reszta smulec.

— Tak, to stary dom. Bardzo stary. Nie warto go było kupować.

Na twarzy mężczyzny z siekierą pojawił się jakiś grymas ni to zaciętości ni to zadumy.

— Jak komu, dla mnie było warto. Palisz pan?

Musiał mieć naprawdę wielką chęć wygadania się, bo nie wyglądał na takiego, który pierwszego lepszego przechodnia częstuje giewontem. Zaciętną się raz i drugi.

— Ja w tej chałupie żyłem, panie, za Niemca.

Spojrzałem z niedowierzaniem. Nie przypominam sobie, żebym tu widział kogoś podobnego. I w dodatku w czasie okupacji.

— Do roboty mnie tu wzięli — wyjaśnił. — Z transportu. Do Prus nas mieli wzięć, ale ten Niemiec, Wilhelm, zabrał mnie do siebie. Diabli go wiedzą czemu. Żeby on z piekła nie wylazł. Drzewo im rąbałem, nosiłem wodę, kopalem ziemię, przycinałem drzewa. Robotą jak robotą — nietrudna. Tylko ten Niemiec...

Człowiek z siekierą wstrząsnął się jakby ze wstrętem. Ale to nie był wstręt. To był strach. Stary, zadawniony strach. Taki sam jak czasem dręczy człowieka we śnie, gdy mu się zdaje, że leży w studni. A kiedy się budzi i już wie, że to był tylko sen, mimo to odczuwa strach.

— Ale najgorszy był ten szczeniak. Pan może nie wierzy. Pan młody to pan może i nie pamięta.

KAZIMIERZ NOWAK

FRASZKI O TWÓRCACH

DO LINGWISTY

Synonimów szukasz
Zapisz dwa w annale:
Wyraz — antyzastka,
Obok — antyjalent.

POCHWAŁA WIERZA

Bożyśta fraza,
Jedyny sens,
Wierz jak z Pegaza
Satukamię.

NAD GRAFIKĄ JEDNEJ PANI

Mój sąd o tym banale?
Wrażenia swe wyliszcz:
Autorka zdradza talent,
Z kim zdradza talent? Z kieszem.

INTELEKTUALISTKA

Zawsze spieszy się do domu.
Po co? Wyjaśnij mi to:
Bo — jeżeli nie ma komu —
To oddaje się lekturze.

NAD KRONIKĄ TEATRU

Zapisano na jej łamach
Wiele chlubnych kart.
Nie raz wystawili dramat,
Co był śmiechu wart...

To były takie czasy, że człowiek przestawał być człowiekiem. Tak jak ja tu. Nieraz, to już chciałem uciekać, ale gdzie? Do domu bałem się, bo by jeszcze starych rozharatał. A do lasu... To nie było takie łatwe. To dziś tylko tak dużo wznosiaków. Jakby wtedy w lesie śledzieli wszyscy ci, co dziś się do tego przyznają, to ho-ho! Wtedy dostać się do lasu też nie było łatwo. W końcu i tak poszedłem, ale przedtem...

Przydeptał podeszwą niedopałek, rozgniatł go na miazgę na szerokiej desce podłogi.

— O tu, na tych schodkach, na tym ganku stary Wilhelm! Ja nie wiem, ale obóz — to był strach. Każdy się bał. To była śmierć. Ten szczeniak to był jeszcze gorszy niż ojciec. On nie szukał powodu. „Bierz go, Bari — wołał”. Bari — to był taki wielki pies, wilczur...

— Pamiętam... — Pamięta pan?! Psa pan pamięta, a mnie nie? No tak, pies biegł wszędzie, a ja tylko tam gdzie mi kazali. Więc ten szczeniak kazał psu ciągnąć mnie na ganek i wywracać. To był cielak nie pies. A silny... Kiedy nie chciałem iść rzucał się na kark. Zawsze od pierwszego skoku walił mnie na deski.

Każdego by zwał. A jak już leżałem, to ten szczeniak brał bykowiec i bił. Myśli pan, że jak taki gówniarz bije to nie boli? Pewnie, że nie tak jak od dorosłego. Ale boli co innego. Ja, panie, byłem jeszcze młody, silny. A tu taki szczur, taki gówniarz bije mnie, a ja nie. Jakbym mu raz oddał to by się raz na zawsze nogami nakrył. A ja nie...

Przeżywał swoje upokorzenie jeszcze raz. Który raz? Setny, tysięczny? Tyle lat minęło od okupacji, a on rok po roku, dzień po dniu przeżywał swoje upokorzenie niewolnika.

— Kiedyś psa nie było, stary Wilhelm! go zabrał, do miasta. A ten szczeniak znów na mnie z bykowcem. Tak się rozzuchwalił, że na-

wet bez psa... I wtedy ja go między oczy. Raz. Jeden jedyny raz. Nie wiem, czy go ocucili, bo zwał. To już był czterdziesty czwartok. Do lasu wtedy poszedłem, na krótko, na parę miesięcy. Potem wojsko, wojna, ziemię niemieckie. W Berlinie byłem. Ale tego ganku, panie, to ja nigdzie nie mogłem zapomnieć. Zamknę oczy i widzę o te, szerokie deski tu przed nosem i swoją krew na tych deskach i swój pot kapiący w szczeliny. Po nocach mi się śniło, że mnie pies gryzie za kark.

Odetchnął głęboko, wyciągnął siekierę tkwiącą w słupie. Nagle zamachnął się i z całej siły wyrzucił obuchem w poprzeczną belkę nad ławką. Cofnąłem się.

— Nie bój się pan, nie zwariowałem. I tak trzeba to rozebrać. Jakem się przypadkiem dowiedział, że MRN sprzedaje ten właśnie dom, to powiedziałem sobie, że ja go muszę mieć. Za każdą cenę bym kupił. Żeby rozebrać. Ja wiem, że to głupota, ale mnie się zdaje, że jak go rozwałę, jak go sam własnoręcznie rozwałę — to mi będzie lżej. Kiedy zamknę oczy, to nie będę widział tego ganku, tych schodów, tych szerokich desek. O tak, o tak, o tak!

Zaczął zajął walle obuchem w jedną z belek. W słofcu zakolowały złote drobinki próchna. Belka opadła nagle. Z dachu posypały się reszki dachówek.

Zszedłem z ganku. Człowiek z siekierą nie zważając już na mnie nadal walił kolejno w belki i deski. Patrzyłem chwilę. Ganek zmienił się w kupę spróchniałego drewna. W miarę jak ubywało desek, z ruchów człowieka z siekierą znikła zaciętość. Nim doszedłem do furtki, ganek przestał istnieć, jeśli nie liczyć kamiennych schodów.

Od roku już w tym miejscu stoi pięciopiętrowy blok. Rozparł się swymi fundamentami tam gdzie był sad i tam gdzie ogród warzywny. Ale mój Zaczarowany Dwór stoi po staremu tam gdzie stał. Wystarczy przysmaknąć oczy, a widzę jak dawniej — stary, rozległy dom, kasztany i lipy kolo domu, widzę obszerne, ocienione ganki.

A na ganku twarzą do ziemi leży człowiek, któremu pies przyciska kark.

Ryszard Kraśko

ALEKSY KAZBERUK

wychodzenie z konieczności

gdybym miał ciebie przetopić w cień ptaka
skrzydeł nie dałbym wiedząc że odleci

gdybym miał ciebie przemienić w motyla
i na pożarcie dać minutom trwania
wołałby w trumnę albumu ułożyć

gdybym miał ciebie powrócić w dziewczynę
rzekłbym co prędzej — jesteś a ja obok.

podlaskie ścieżki

Hecznych wozów szukają się koła
okrągłe — labirynty najprostsze
konie ciężar przenoszą ku głowie
między lewym a prawym poboczem
skóra drzeniem ominąć chce boleść
bat na wietrze szyderczo chichocze
wypłoszony z wierzby nietoperz
szuka ziaren nocy w odwróconym słowie
miotkiem gwoździe przygląda echo
za oknem wieczoru płachta
narowistość wron — drzewia dalekość
naliczyłem do stu przedmiotów
na mydlanych bańkach osiadłych
nie spotkałem ciebie wymyślonej
w obojętnym twierdzeniu newtona

WIESŁAW KAZANECKI

by czas miał naturę mrówki
i pracował w budowlach z igieł drzazg i siano
bym rozdusił mógł go na ręku gdy wpełźnie zbyt wysokie
bym mrowisko czcił jak świątynię co spętało groźnego boga
w świątynię kij dębowy włożyć mógł
zegar mrowiska rozmontować na czarne przerażone punkty
bym sióznę ojca mego zawrócić mógł ze skroni z powrotem

ALICJA JĘDRZEJEWSKA

mam dom

Mam dom
klatkę ceglana
wybitą moją skórą
W szybach
pory roku
malowane na płocie
Wchodzą tu cienie
zbyt długie aby minąć okno

Od rana
zarabiam na ciepłotę oczu
mnożę sprawność rąk
osłonię przystań
dla której wieczorem
proszkiem do mycia naczyń
czyszczę słócce
na dzień następny

PORTRETY

(Dokończenie z poprzedniej strony)

la wyobrazić sobie takiej księgarni, w jakiej obecnie pracuje, ani tego komu będzie sprzedawać cenne wydawnictwa.

— Przychodzi do księgarni — opowiada — kobiecina ze wsi. Skromna, niepozorna i pyta czy mam encyklopedię. Mam, oczywiście. Podaje jej książkę, lecz zaraz uprzedza, że to pewno nie na jej kieszeń. Prawie 200 złotych. Wiesz, co ona mi na to? Dla dziecka nie szkoda żadnych pieniędzy. Wzięła jeszcze słownik wyrazów obcych, słownik języka angielskiego i powiodła to wszystko na wieś, dla syna, który uczy się na inżyniera...

Pani Stanisława pracowała w białostockim księgarstwie w okresie międzywojennym. Wśród książek spędzała całe powojenne dwudziestolecie. Najchętniej opowiada więc o książkach, które zajmują w jej własnym życiu i życiu jej bliskich poczesne miejsce. A miasto, czy na refleksje o nim poświęca również trochę czasu?

— Lubię chodzić po mieście, zwłaszcza po Plantach, najpiękniejszych, jakie znam. Lubię też słuchać, gdy inni mówią o Białymstoku. Gdy widzę wycieczki krążące po ulicach miasta — wyznaje — często się do nich przyłączam. Dobrze wiedzieć czasem co ludzie o nas mówią. I z jednakowym wciąż wzruszeniem wysłuchuję słów uznania o moim mieście...

— Czy była pani gdzieś poza Białymstokiem?

— Naturalnie. W Jeleniej Górze, Karpaczu, na Mazurach. Chętnie podróżuję, ale po kilkunastu dniach z radością wracam na swoje śmieci...

Nie jest to tylko przywiązanie do miejsca zamieszkania, to coś głębszego. Pani Stanisława nie wyjaśnia tych spraw. Ale wyczuwa się w niej jakąś wewnętrzną radość, zadowolenie, że w tym skromnym, peryferyjnym mieście znalazła swój świat.

Gdy pan Józef wita w drzwiach muzeum każdego z uśmiechem, jak dobrego znajomego, albo gdy z namaszczeniem podaje nożyczki do przecięcia wstęgi wleńcającej kolejną wystawę — wszystko wydaje się tak zwyczajnie, codzienne, naturalne. Ale raz zabrał i pana Józefa i wstęgi. Niby nic się nie stało, drobny, coś znaczy jakaś wstążka wobec masy problemów, przed jakimi stawia nas życie codzienne. Ale każdy zastanowił się przez chwilę: gdzie jest Zubrzycki, czy przypadkiem nie chory, dlaczego go nie ma?

Na otwarciu wystawy może nie być przedstawiciela miejscowych władz, może nie być tego czy owego konesera sztuki, ale Zubrzycki jest zawsze. W Ratuszu, w Muzeum Ruchu Rewolucyjnego, w salonie Związku Polskich Artystów Plastyków. Nie opuści żadnej wystawy, chyba, że zwichnięta noga, tak jak to się raz zdarzyło, zmusi go do pozostania w domu. Jeździ nawet do wszystkich tych miast, gdzie nasze muzeum urządziło wystawę, do Warszawy, Opola, Lublina.

— Nożyce też trzeba umieć podać — usprawiedliwia się.

Podawanie nożyce do przecięcia wstęgi to tylko przypieczenie faktu otwarcia wystawy. Zaangażowanie Józefa Zubrzyckiego ekspozycja nie rozpoczyna się w tym momencie i na tym nie kończy. Ten stolarz z zawodu, niemal samouk, wyspecjalizował się od kilkunastu lat w montowaniu wystaw. W pracy swej doszedł do takiej wprawy, że sam jeden w ciągu kilku dni potrafi zmontować wystawę, wprowadzając tym w zdumienie doświadczonych fachowców. Wyspecjalizował się ponadto w konserwacji starych mebli, co w Muzeum jest również przydatne.

Zapytany o przywiązanie do miasta pan Józef odpowiada:

— Nie pochodzę z Białegostoku. Urodziłem się w powiecie sokólskim. Wiele lat spędziłem poza województwem. Pracowałem wszędzie, gdzie się dało, emigrowałem nawet w poszukiwaniu zarobku do Francji. Czym była ta emigracja wiedz

tylko ci, którzy w tamtych czasach musieli wyjeżdżać z kraju. I oto w Muzeum znalazłem wreszcie radość swego życia. Stałem się potrzebny i ceniony. Od młodego pomocnika muzealnego wspierałem się po drabinie służbowej do starszego laboranta. Czy można się dziwić, że w Białymstoku czuję się dobrze?

Człowiekiem o najpopularniejszym głosie jest w Białymstoku Józef Kościuczyk. Wystarczy, że za swoim śpiewnym akcentem zapowie: „Halo, tu Białystok”, a już wiadomo — to on, spiker i lektor od dziesięciu lat, koordynator programu w białostockiej rozgłośni „Polskiego Radia”. Wszystko zaczęło się od 1952 r., od luźnej współpracy z białostockim radiem. Data 1 maja 1955 r. przeszła do historii białostockiej radiofonii i zapadła na długo w pamięć początkującego spikera. Tego dnia Białystok otrzymywał własną rozgłośnię. Władomość tę miał zakomunikować całemu krajowi w imieniu białostoczan właśnie Kościuczyk. Wypadło mu powiedzieć niewiele: „Białystok wita słuchaczy w programie ogólnopolskim”. Zwykła, stereotypowa formułka, jakich słyszymy wiele i jakie wypowiada Kościuczyk tużami. Ale wówczas, 1 maja 1955 r., w atmosferze świętecznego podniecenia, zadanie to wydało mu się niemal ponad siły.

Przez kilkanaście minut powtarzał w skupieniu krótką formułkę, zanim odważył się wyrzucić ją z siebie na fale eteru.

Czy dziś, po tylu latach rozmów ze słuchaczami, ma tremę? Ma i to wciąż duża. Wynika ona nie z obawy, że sobie nie poradzi, że się zająknie lub popłaczę. Pomyłki są nieuniknione i można z nich wybrnąć przy odrobinie humoru i refleksji. Obawa wynika ze świadomości, że mówi się do tysięcy ludzi, tych najbliższych z Białegostoku, województwa i tych odległych — z innych miast kraju, a nawet z zagranicy. Program białostocki odbierają słuchacze we Francji, Australii, lipią go polscy marynarze ze statku „Białystok”, płynący po afrykańskich wodach.

— Józiu, jesteś białostoczaninem, prawda? — zwracam się do radiowego kolegi.

— Tak. Rodzice moi mieszkają niedaleko Białegostoku, w Niewodnicy.

— Czy lubisz swoje miasto?

— Bardzo, zwłaszcza gdy odkrywam je na nowo. Na co dzień kursuję między domem i rozgłośnią jak samochód miejskiej komunikacji, tak, że niewiele dostrzegam zmian w otoczeniu. Bywają jednak dni, że zapuszczam się w nowe dzielnice i wówczas oczom nie wierzę. To miasto wyrosło od podstaty jest równie Białymstokiem. I wiesz co, w takich momentach darować nie mogę wszystkim tym, którzy pociągają na Białystok, którzy nie czują się regionalnymi patriotami, mimo że tu mieszkają i pracują. Malkontentów odsłabiałbym do chałupki na Słennym Rynku, niechby zobaczyli jak wyglądało miasto dnia wczorajszego...

— Czy lubisz Białystok? Gdyby zadać podobne pytanie o Warszawie, Krakowie, Poznaniu, Toruniu — nikt by się nie zdziwił. Miasta stare, sławne, o tradycjach przekazywanych z pokolenia na pokolenie. Jakże ich nie lubić. Odpowiedź przecząca mogłaby wywołać protesty, być uznana za profanację, szarganie świętości. Ale Białystok? W tym wypadku raczej twierdzenie spotyka się z ironicznymi uśmiechami i wzruszonymi ramionami. Tak traktuje się zwykle wszystko co nowe, początkujące, niespełnione. A jednak Białystok ma swoich sympatyków. Zakochanych w nim po uszy, nie wyobrażających sobie życia gdzie indziej. Za co kochają to miasto? Za to, że jest takie, a nie inne, za to, że na ich oczach rośnie i pięknieje, że z każdym nowym domem, zieleńcem, chodnikiem zabiera jakąś część ich życia. Portrety tych ludzi są więc portretem miasta. Naszego miasta.

Krystyna Marszałek